

ELVIRA LINDO

MATEUSZEK



NASZA KSIĘGARNIA

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

Elvira Lindo

Mateuszek

Przełożyła Anna Trznadel-Szczepanek

Ilustrował Julian Bohdanowicz

Wydawnictwo NASZA KSIĘGARNIA

Mateuszek

Spis treści

[Okładka](#)

Karta tytułowa

[Zajrzyj na strony.](#)

W serii:

Dedykacja

OSOBY

ROZDZIAŁ PIERWSZY **Piąte koło u wozu**

ROZDZIAŁ DRUGI **Guzik Mateuszka**

ROZDZIAŁ TRZECI **Co za idiotyczna diagnoza!**

ROZDZIAŁ CZWARTY **Kapitan Gorzala**

ROZDZIAŁ PIĄTY **Oryginalny grzech**

ROZDZIAŁ SZÓSTY **Stworzeni dla siebie**

ROZDZIAŁ SIÓDMY **Kuba Martínez jest z innej planety**

ROZDZIAŁ ÓSMY **Nie wiem, dlaczego to zrobiłem**

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY **Pokój na całym świecie**

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY **Sto lat!**

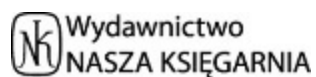
O Aforce

[Przeczytaj również drugi tom serii!](#)

Karta redakcyjna

Zajrzyj na strony

www.nk.com.pl



Znajdź nas na Facebooku

www.facebook.com/WydawnictwoNaszaKsiegarnia



Poznaj pozostałe tomy w serii MATEUSZEK

<http://www.nk.com.pl/mateuszek/198/seria.html>

W serii:

Mateuszek
Mateuszek i kłopoty

Najdroższemu Antonio Muñozowi Molinie

OSOBY

Mateuszek Okularnik

Chłopiec z madryckiej dzielnicy Carabanchel (Górny), gaduła nierozumiany przez otoczenie. Koledzy ze szkoły oraz jego niesłychana naiwność pakują go ciągle w jakieś tarapaty.



Głupek

Młodszy, najukochańszy brat Mateuszka. Innego nie ma!



Dziadek

Niezastąpiony sojusznik Mateuszka w momentach, kiedy ma on ochotę zapaść się pod ziemię.



Rodzice chrzestni i Tina

Rodzice chrzestni Mateuszka mają suczkę, która jest prawie tak mądra jak ludzie.



Zuzia-w-Brudnych-Majtkach

Ta dziewczynka to istny szatan. Jej wybujała wyobraźnia może narobić kłopotów każdemu, a zwłaszcza Mateuszkowi.



Kamil

Największy łobuz i zabijaka spośród kolegów Mateuszka.



Uzatek

Podły zdrajca, nieodłączny przyjaciel Mateuszka.



Pani wychowawczyni

Uważa, że wszyscy jej uczniowie są przestępcami, ale nie traci nadziei, że się poprawią.



ROZDZIAŁ PIERWSZY

Piąte koło u wozu



Nazywam się Mateuszek Garcí a Moreno, ale jeżeli znajdziesz się na moim osiedlu i zapytasz pierwszego faceta, który ci się nawinie:

– Bardzo przepraszam, gdzie mieszka Mateuszek Garcí a Moreno?

Facet wzruszy ramionami albo odburknie:

– A co mnie to obchodzi?

Bo z imienia i nazwiska – Mateuszek Garcí a Moreno – nie zna mnie nawet Uszatek Lopez, który jest moim najlepszym kolegą, chociaż czasami zachowuje się jak świnia i zdrajca albo zdradziecka świnia, co właściwie na jedno wychodzi, ale jest moim najlepszym kolegą i okropnie go lubię.

W Carabanchel (to dzielnica, w której mieszkam, chyba ci już o tym mówiłem) wszyscy na mnie wołają Mateuszek Okularnik. Oczywiście wszyscy, którzy mnie znają. Ci, co mnie nie znają, nie wiedzą nawet, że od piątego roku życia noszę okulary. Ale to ich strata.

Nazywam się Mateuszek tak jak ciężarówka mojego taty, a ciężarówka nazywa się Mateuszek tak jak mój tata, który ma na imię Mateusz. Mój tata nazywa się Mateusz jak jego tata i tak dalej, aż do początku świata. Czyli że – ciekawe, czy Steven Spielberg o tym wie – pierwszy dinozaur welociraptor miał na imię Mateusz i tak aż do naszych czasów. Aż do ostatniego Mateuszka Garcí a, którym jestem ja, piąte koło u wozu. Tak mówi na mnie mama w pewnych decydujących momentach, ale nie dlatego, że interesuje się dawnymi środkami lokomocji. Nazywa mnie tak, kiedy ma zamiar przetrzepać mi skórę. Jest mi głupio, że mówi na mnie piąte koło u wozu, a jej jest głupio, że na osiedlu

wołają na mnie Okularnik. Jak widać, jest nam głupio z różnych powodów, chociaż jesteśmy z tej samej rodziny.

Ja jestem zadowolony, że wołają na mnie Okularnik. W mojej szkole (imienia Diego Velázquez) każdy, z kim się choć trochę liczą, ma przezwisko. Kiedy jeszcze nie miałem przezwiska, często płakałem. Jak mnie zaczepił na przerwie jakiś łobuziak, wyzywał mnie od czworoocznych albo okularników. Odkąd jestem Mateuszkiem Okularnikiem, nikt mnie już nie wyzywa. Mogliby jeszcze wołać na mnie Łeb–jak–Sklep, ale jak na razie nikt na to nie wpadł, a ja oczywiście nie zamierzam im tego podpowiadać. Tak samo było z moim kolegą Uszatkiem Lopezem; odkąd ma przezwisko, nikt mu już nie dokucza z powodu dużych uszu.

Któregoś dnia wracaliśmy ze szkoły, kopiąc się niemiłosiernie, bo on mówił, że woli swoje uszy od moich okularów jak latające talerze, a ja mówiłem, że wolę swoje okulary od jego uszu jak małpie tyłki. Te małpie tyłki strasznie go wkurzyły, ale to prawda. Jak jest zimno, jego uszy nabierają takiego samego koloru jak tyłki małp w zoo; zostało to potwierdzone notarialnie. Mama Uszatka powiedziała, żeby się nie przejmował, bo jak dorośnie, uszy mu się skurczą, a jeżeli się nie skurczą, chirurg je utnie i będzie święty spokój.



Mama Uszatka jest strasznie fajna, bo jest rozwiedziona i czuje się z tego powodu winna, więc nigdy nie podnosi na Uszatka ręki, żeby nie pogłębiać stresu, z którego próbuje go wyleczyć pani psycholog z naszej szkoły. Moja mama też dba o to, żebym się nie stresował, ale ponieważ nie jest rozwiedziona, daje mi od czasu do czasu kuksańce, w których się wyspecjalizowała.

Kuksaniec to coś, co mama, a pod jej nieobecność ktoś inny, daje w część ludzkiego ciała zwaną karkiem. Nie wychwalam jej

dlatego, że to moja mama, ale faktem jest, że mało kto może jej w tym dorównać. Dziadek nie lubi, jak mama daje mi kuksańce, i zawsze zwraca jej uwagę: „Słuchaj, jak chcesz mu przylać, uderz go trochę niżej, a nie w głowę, przecież chłopak się uczy”.

Dziadek jest strasznie, okropnie, niesamowicie fajny. Trzy lata temu przyjechał do nas ze wsi, więc mama zabudowała balkon i wstawiła tam wersalkę, żebym spał razem z dziadkiem. Co wieczór rozkładałam mu spanie. Nie cierpię tego, ale nieźle na tym wychodzę, bo mi zawsze potem wrzuca do świnki – to nie jest oczywiście prawdziwa świnka, tylko skarbonka – dwadzieścia pięć peset, dzięki czemu staję się niezmiernie bogaty.

Czasami nazywa mnie następcą tronu; mówi wtedy, że wszystko, co zaoszczędzi z emerytury, będzie dla mnie. Mama nie lubi, jak rozmawiamy o śmierci, ale dziadek mówi, że przez najbliższe pięć lat, które mu jeszcze pozostały, zamierza rozmawiać o tym, o czym mu się będzie podobało.

Dziadek zawsze powtarza, że chce umrzeć przed rokiem 2000, bo nie ma ochoty wiedzieć, co się będzie działo w przyszłym stuleciu; wystarczy mu to, które się właśnie kończy. Uparł się, że umrze w roku 1999, i to na prostatę, bo już tyle czasu się z nią męczy, że głupio by mu było umrzeć na coś innego.

Ja mu powiedziałem, że wolałbym odziedziczyć jego emeryturę i żeby on nie umierał, bo spanie z dziadkiem Mikołajem jest okropnie, niesamowicie fajne. Zasypiamy co wieczór przy włączonym radiu, a kiedy mama próbuje je zabrać, budzimy się. Tacy już jesteśmy. Gdyby dziadek umarł, wtryniliby mi do pokoju Głupka, na co nie mam najmniejszej ochoty.

Głupek to mój młodszy, jedyny braciszek. Mama nie lubi, jak mówię na niego Głupek; nie ma przezwiska, które by się jej podobało. Nie bierze pod uwagę, że nazwałem go tak mimo woli. To nie był jeden z tych momentów, kiedy czujesz, że musisz się na kimś wyładować, bo inaczej pęknieš ze złości.

Palnąłem to w dniu, kiedy się urodził. Dziadek zabrał mnie do szpitala, miałem wtedy pięć lat; pamiętam, bo dostałem właśnie pierwsze okulary i nasza sąsiadka, pani Lusja, powiedziała: „Biedactwo, ma dopiero pięć lat”.

No więc podszedłem do łóżeczka i zacząłem otwierać braciszkowi oko, bo Uszatek mi powiedział, że jeśli ma czerwone oczy, to znaczy, że jest opętany przez diabła. Chciałem jak najlepiej, a on zaczął się drzeć, żeby mi zrobić na złość. Wtedy wszyscy na mnie wsiedli, jakbym to ja był opętany, i po raz pierwszy pomyślałem: „Co za głupek!”, i to była jedna z tych myśli, których się już nie można pozbyć. Więc nikt mi nie wmówi, że naumyślnie go tak przezwąłem, po prostu zasłużył sobie na to, bo odkąd się urodził, ciągle mi dokucza.

A na mnie dziadek mówi: Mateuszek, Tomcio Paluszek. Bo dziadek nauczył mnie swojej ulubionej piosenki „Wszystkie dzwony biją”. To bardzo stara piosenka, jeszcze z czasów, kiedy w domu dziadka nie było ubikacji, a telewizja była niema. Czasami bawimy się wieczorem w Tomcia, który śpiewał tę piosenkę dawno, dawno temu, i ja śpiewam mu piosenkę, a później udaję, że latam, i takie różne rzeczy, bo jeśli zaśpiewam „Wszystkie dzwony biją” i nie bawimy się potem w Tomcia, robi się strasznie smutno. Dziadkowi zaczynają lecieć łzy, bo ta piosenka przypomina mu bardzo dawne czasy i tamtego chłopca,

który skończył w więzieniu, a mnie jest wstyd, że taki stary człowiek jak mój dziadek płacze z powodu czegoś, co się zdarzyło dawno, dawno temu.

Jednym słowem, jeżeli znajdziesz się w Carabanchel i zapytasz, gdzie mieszka Mateuszek, Tomcio Paluszek, też niczego się nie dowiesz, co najwyżej jakiś dowcipniś pokaże ci więzienie, które jest niedaleko nas, bo wielu ludzi tak robi.

Nie będą wiedzieli, kto to jest Mateusz ani Mateusz García Moreno, ani Tomcio Paluszek, ale każdy ci pokaże, gdzie mieszka Mateuszek, znany po tej stronie rzeki Manzanares jako Okularnik, a we własnym domu jako: „Wiadomo, kto to powiedział: Piąte Koło u Wozu”.

ROZDZIAŁ DRUGI

Guzik Mateuszka



Na początku września mama wysłała nas, dziadka i mnie, żebyśmy kupili kościany guzik, bo takiego brakowało mi przy kurtce. Odgryzł mi go w zeszłym roku Uszatek Lopez; było to tego dnia, kiedy nie chciałem podzielić się z nim kanapką. On złamał

sobie ząb, a ja zostałem bez guzika. Jego mama użaliła się nad nim, a moja dała mi kuksańca o przedłużonym działaniu, takiego, co to boli co najmniej przez pół godziny. Tego dnia zrozumiałem, że jeśli chce się usłyszeć od mamy dobre słowo, znacznie lepiej złamać sobie jakąś część ciała, niż zniszczyć coś z ubrania. Nad ubraniami mamy niesamowicie lamentują, natomiast poharatanymi dziećmi zaraz się przechwalają:

- Mój syn złamał wczoraj nogę.
- A mój głowę, jak chcesz wiedzieć.

Mamy bardzo nie lubią być gorsze od innych mam. Właśnie dlatego, kiedy nadszedł wrzesień, mama powiedziała:

- Nie chcę, żebyś tak poszedł do szkoły i żeby okazało się w październiku, że jeszcze ci nie przyszyłam guzika do kurtki.

Nosiłem tę kurtkę w zeszłym roku, będę ją nosił w tym roku i w przyszłym, i w następnym, i jeszcze w następnym, bo mama mówi, że dzieci szybko rosną i trzeba im kupować kurtki na zapas. Dzieci szybko rosną, ale ja nie. Dlatego będę miał na sobie tę kurtkę w dniu, w którym umrę, jak już będę stary. Nienawidzę tej kurtki. Będę musiał przez całe życie nienawidzić tej samej kurtki. Okropność!

Latem mama zmusiła lekarza, żeby mi przepisał witaminy. Wydaje mi się, że wstydzi się, że ta kurtka jest na mnie ciągle za duża, i daje mi witaminy, żebyśmy – kurtka i ja – raz na zawsze osiągnęli ten sam rozmiar. Czasami myślę, że mama bardziej kocha kurtkę niż mnie, chociaż jestem jej rodzonym synem. Zapytałem o to dziadka, jak jechaliśmy po guzik, a on powiedział, że wszystkie mamy bardzo się przywiązują do różnych ubrań,

kurtek, czapek i rękawiczek, ale mimo to nie przestają kochać swoich dzieci, bo mamy mają wielkie serce.

W naszej dzielnicy, która nazywa się Carabanchel, jest wszystko. Jest więzienie, są autobusy, dzieci, więźniowie, mamy, narkomani i piekarnie, ale nie ma kościanych guzików do kurtek, więc pojechałem z dziadkiem Mikołajem metrem do centrum.

Mamy wielkie szczęście w metrze, bo nawet jak jest tłok, ludziom jest bardzo żal dziadka i mnie, więc zawsze ustępują nam miejsca. Żal im dziadka, bo jest stary i choruje na prostatę. Prostaty nie widać, ale za to widać, że jest stary. Mnie jest im żal chyba dlatego, że noszę okulary, ale nie mam co do tego całkowitej pewności.

Kiedy ludzie ustępują nam miejsca, uważamy za swój obowiązek siedzieć z miną nieszczęśników, bo jeśli ustąpią ci miejsca, a ty usiądziesz i na przykład wybuchniesz śmiechem, ludzie się od razu obrażają. Więc dziadek i ja zawsze wsiadamy do metra jak z krzyża zdjęci i zawsze dobrze na tym wychodzimy. Spróbuj tego sposobu, tylko nie opowiadaj o nim na prawo i lewo, bo jak wszyscy będą tak robić, skończą się dla nas dobre czasy.

Mama wysłała nas do takiego sklepu przy placu Puerta del Sol, dokąd wszystkie mamy z całego świata chodzą kupować nici, zamki błyskawiczne, igły i guziki.

Sterczeliśmy godzinę przy ladzie, bo dziadek pozwalał wszystkim paniom kupować przed nim. On uwielbia przepuszczać panie i proponować im, żeby poszły z nim na kawę, jeżeli mają czas. Nigdy nie mają czasu, ale on nie daje za wygraną.

Trwało to z godzinę, w czasie której dziadek rozmawiał ze wszystkimi klientkami. W końcu położyłem się na ladzie, bo

byłem wykończony tym stanem. Wtedy ekspedient uparł się, że teraz nasza kolej, bo nie chciał, żebym władował mu się z butami na ladę. Kiedy już zdobyliśmy guzik, dziadek stwierdził:

– Zrobiliśmy, co do nas należało, Mateuszk, więc możemy sobie teraz pospacerować po Gran Vía.

A ja odparłem:

– Jasne, bardzo fajnie, kochany dziadziusiu.

Tak naprawdę to nie powiedziałem „kochany dziadziusiu”. Jak mi się zdarzy powiedzieć do dziadka „kochany dziadziusiu”, wysłała mnie w przyspieszonym tempie na elektrowstrząsy.

Poszliśmy na ulicę Gran Vía. I jak myślisz, co zobaczyliśmy? Manifestację. Tam, gdzie mieszkamy, też są manifestacje, ale nie takie ładne jak na Gran Vía. Dziadek powiedział:

– Dołączymy do nich.

Ci, co manifestowali, nie mieli chyba nic przeciwko temu, bo nikt nas nie zaczepił. Dziadek poprosił jednego faceta, żeby mnie wziął na barana, to będę mógł zobaczyć człowieka, który przemawiał. Kiedy siedziałem na ramionach tego pana, zauważyłem, że ma łupież, i zacząłem mu trochę czyścić włosy. Poradziłem mu, żeby sobie kupił ten szampon, który reklamują w telewizji: człowiek zaraz traci łupież i zyskuje narzeczoną. Facet chyba trochę się zdenerwował, bo postawił mnie z powrotem na ziemi i burknął:

– Oj, ciężki ten pana wnuczek jak nie wiem co.

Nabawiłem się przez tego obrzydliwego faceta kompleksu, że jestem gruby. Ja co rusz mam jakiś kompleks. Że jestem niski, gruby, okularnik, nudziarz... Nie będę wymieniał dalej, bo nie chcę sam siebie obrażać. To, że jestem gruby, bardzo mnie męczyło

w zeszłym roku, ale mi przeszło, bo prawdę mówiąc, to głupota mieć kompleks, że się jest grubym, jeżeli tak nie jest.

Dziadek w ogóle nie zwrócił uwagi na faceta z łupieżem. Zaczął protestować w sprawie swojej emerytury, co robi za każdym razem, kiedy zbiorą się więcej niż dwie osoby. Powiedział też, że ten, kto wymyślił szybkowar, wyrządził społeczeństwu wielką krzywdę.

Maszerowaliśmy środkiem ulicy, którą nie jechał ani jeden samochód. Wszędzie było pełno policji i pomyślałem sobie: „Ale fajnie”. Po chwili manifestacja się skończyła i dziadek oświadczył:

– Kupię ci hamburgera, żeby twoja matka nie mówiła, że cię morzę głodem.

Kupił hamburgera i trzy lody: dwa dla siebie, mimo że jest chory na prostatę, i jednego dla mnie, mimo że jestem trochę za gruby. A ja pomyślałem: „Ale fajnie, ale fajne życie, życie jak w Madrycie, ale fajnie”. Wydaje mi się, że to był najważniejszy dzień w moim życiu; zacząłem podskakiwać z radości, ale dziadek mnie powstrzymał:

– Nie skacz, na Gran Vía nie można skakać, bo pod spodem jest metro i niewiele potrzeba, żeby się to wszystko zawaliło.

Więc się pohamowałem i skakałem tylko w myśli. Bardzo często skaczę w myśli, bo inaczej sąsiadka z dołu, pani Lusja, przychodzi i pyta, co za diabeł przywłókł do nas to trzęsienie ziemi z San Francisco.

Przysięgam, że mieliśmy już wracać do domu, kiedy zobaczyliśmy presterkę wiadomości telewizyjnych; siedziała w kawiarni i jadła kanapkę z kurczakiem, majonezem, sałatą

i pomidorem. Widziałem na własne oczy, bo gapiliśmy się na nią przez szybę, dopóki nie skończyła.

Facetka siedziała jak na szpilkach; widać było, że jest speszona. W pewnym momencie kapnęło jej na brodę trochę majonezu i szybko go wytarła. Zawołała kelnera i zrobiła taki ruch, jakby chciała zasłonić okno, ale zrobiło jej się łyso, bo nie było zasłon.

Nie mogłem odejść, dopóki nie wstanie, bo w mojej szkole mówią, że wielu prezenterów dzienników telewizyjnych nie ma nóg i właśnie dlatego zostają prezenterami dzienników telewizyjnych, że do tego nie potrzeba nóg. Moi koledzy nigdy by mi nie wybaczyli, gdybym odszedł bez sprawdzenia tego. A żeby sprawdzić coś takiego, trzeba pojechać do centrum, bo tam są sławni ludzie, a u nas, czyli w Carabanchel, nie ma ani sławnych ludzi, ani kościanych guzików. Kelner wyszedł i powiedział:

– Dziadku, jak chłopak chce oglądać zwierzęta, to idźcie do zoo, bo tu jest kawiarnia.

A dziadek odparł bez chwili namysłu:

– Jesteśmy z wnuczką na ulicy, a z ulicy nie wyrzuci mnie ani pan, ani burmistrz, choćby się tu zjawił *in person*^[1].

Dziadek zasunął mu to *in person* jak gdyby nigdy nic; on nie ma w zwyczaju odstawiać ważniaka. Ale kelner nie dawał za wygraną; to był typowy pacholek sławnych ludzi. Wycedził:

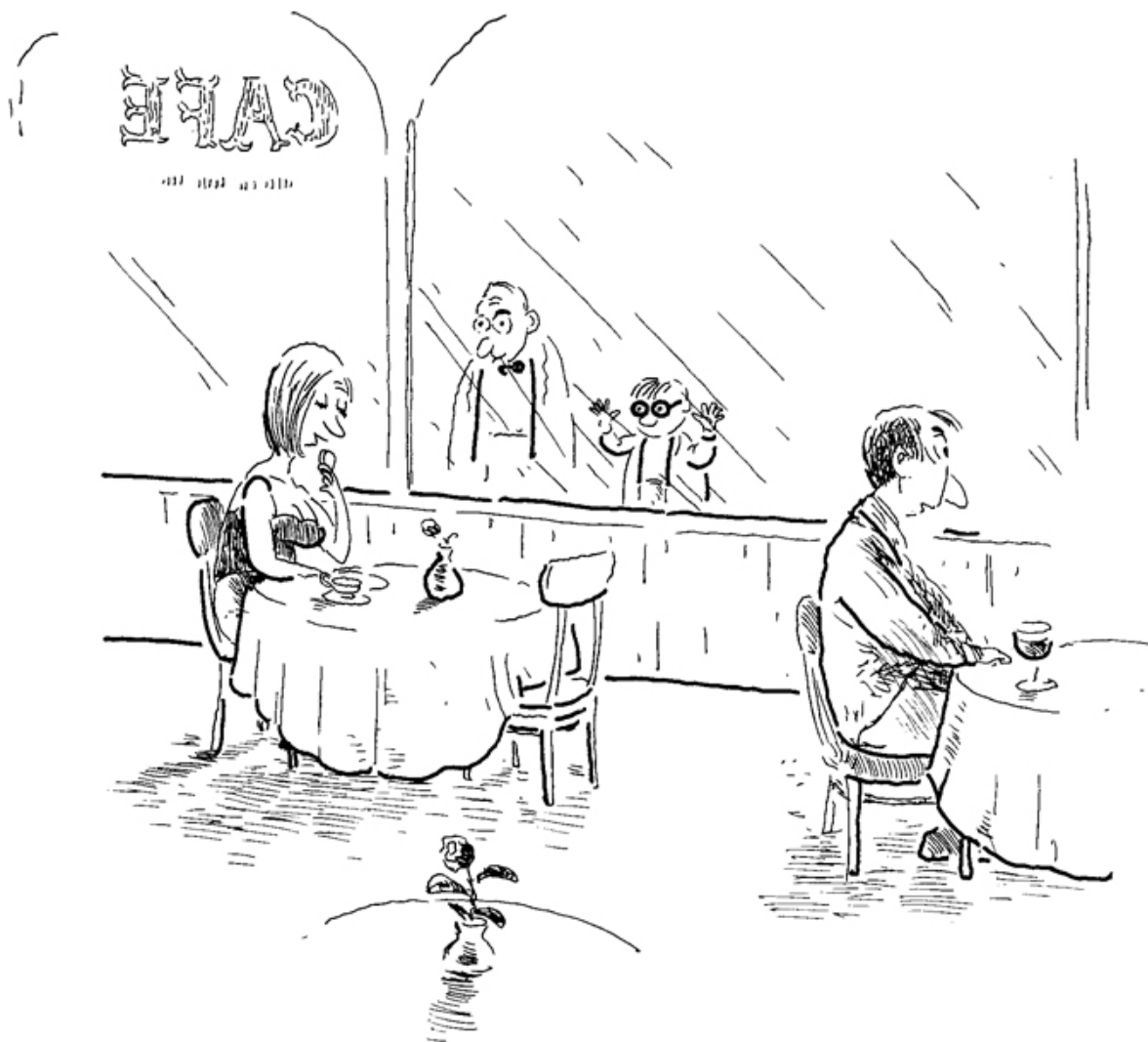
– Jestem odpowiedzialny za to, żeby pani lektorka zjadła kanapkę w spokoju, a nie jakby była małpą z ogrodu zoologicznego.

– Słowo „małpa” wyszło z pana ust, a nie z moich – sprostował dziadek, który przemawia lepiej niż prezydent. – Ale nie rozumiem, dlaczego pani prezenterka tak się wstydzi tego, że

patrzą na nią biedny staruszek i chłopiec, skoro co wieczór wpatrują się w jej usta miliony telewidzów.

– Bo jej to przeszkadza – wyjaśnił kelner, który najwyraźniej miał zamiar wygrać konkurs na marudę roku i typowego pachółka sławnych ludzi.

– A mnie przeszkadza – odpowiedział dziadek kelnerowi i wszystkim ludziom, którzy zgromadzili się wokół nas na Gran Vía – a mnie przeszkadza – powtórzył – że pani prezenterka bez przerwy się myli, czytając wiadomości, bo pensja pani prezenterki pochodzi z kieszeni podatnika, który płaci to, co do niego należy, mimo że za swoją emeryturę nie może kupić nawet pasa przepuklinowego. Niech pani prezenterka powie coś w wiadomościach na temat emerytur.



Kiedy dziadek skończył, ludzie zaczęli go okłaskiwać bardziej niż tamtego faceta, który przemawiał na manifestacji. Biednemu dziadkowi trząśł się podbródek, jak zawsze, kiedy jest bardzo przejęty.

Ludzie kazali kelnerowi, żeby mu przyniósł szklankę wody, więc kelner musiał spuścić z tonu i iść do kawiarni, ale to nie on wyszedł ze szklanką wody w ręce.

Nie uwierzysz, ale przysięgam ci na Głupka, że szklankę przyniosła pani prezenterka. To była najpiękniejsza chwila

w naszym życiu.

– Proszę – odezwała się tym samym głosem, jakim mówi w telewizji. – Lepiej się pan czuje?

Dziadek powiedział, że tak, że chciał tylko udowodnić swojemu wnukowi, że prezenterki mają nogi, w dodatku – podkreślił – bardzo ładne; że nie ma drugiej takiej prezenterki jak ona i że telewizja nie przedstawia jej w korzystnym świetle, bo w rzeczywistości jest sto razy ładniejsza, i że do rano, chłopak idzie jutro do szkoły, i przyjechaliśmy do centrum po guzik, niech pani sama zobaczy, która jest godzina, moja córka na pewno dzwoni teraz na policję. Po wygłoszeniu tego drugiego przemówienia wypił jeszcze dwa łyki wody i poszliśmy. Dziadek podniósł rękę w samym środku Gran Vía, żeby złapać taksówkę, bo było okropnie późno. Na pewno skończyły się już drugie wiadomości. Zatrzymała się taksówka i dziadek powiedział do taksówkarza:

– Górny Carabanchel, proszę. Czy myśli pan, że sześćset peset wystarczy?

A taksówkarz na to:

– Ależ skąd, to straszny wygwizdów.

Taksówkarz nie chciał nas zawieźć, ale nie odjeżdżał. Są ludzie, którzy się złością o jedno głupie pytanie; są na świecie ludzie, którzy mają bardzo zły charakter.

– Przez tego hamburgera zostało nam tylko sześćset peset, Mateuszk.

Zwalił całą winę na mojego hamburgera, jakby zapomniał, że sam spałaszował dwa lody. W rezultacie musieliśmy wrócić tak samo, jak przyjechaliśmy, czyli metrem.

Zachciało mi się strasznie spać. Strasznie mi się zachciało spać, kiedy pomyślałem o szkole, o naszej pani, o zimie i mojej kurtce. A jeśli jeszcze w dodatku jedziesz metrem, głowa zaczyna ci się kiwać od tego myślenia i już nie możesz myśleć. Dziadek czuł chyba to samo, bo powiedział:

– Zdrzemnę się trochę, Mateuszk. Ty jesteś zuch, więc pilnuj, żebyśmy nie przejechali naszej stacji.

Ale ja też zasnąłem, zasnąłem głęboko, zasnąłem jak suseł.

Obudził nas strażnik metra. Staliśmy w szczerym polu i nie wiedzieliśmy, która jest godzina. Nie ma nic gorszego, niż zasnąć w metrze i obudzić się w szczerym polu. Zacząłem płakać, chociaż nikt na mnie jeszcze nie krzyczał. Strażnik na nas też nie nakrzyczał. Powiedział, że dojechaliśmy do ostatniej stacji, i pojechał z nami tam, gdzie mieliśmy wysiąść, bo najwyraźniej zorientował się, że dziadek ledwie zipie z powodu prostaty. Jak dotarliśmy do domu, wszyscy sąsiedzi stali przed blokiem i pocieszali mamę, zrozpaczoną naszym zniknięciem. Pani Lusia powiedziała:

– Nie martw się, Kasiu. Gdyby umarli, byłoby o tym w telewizji.

Wszyscy napadli na dziadka: że zachowuje się niepoważnie, że dzieciak musi jutro wcześniej wstać, że pewnie nie jadł kolacji, że właśnie mieli dzwonić do policyjnych służb specjalnych pertraktujących z porywaczami. Dziadek wbiegł po schodach na górę (oczywiście nie dosłownie), żeby przestali zawracać mu głowę.

Po pewnym czasie, kiedy mama nawymyślała nam już od najgorszych, spytała nagle:

– A guzik do kurtki?

Guzika nigdzie nie było; wtedy oznajmiła, że któregoś dnia dostanie przez nas ciężkiego zawału serca i umrze ze zmartwienia.

Po raz pierwszy, odkąd skończyło się lato, dziadek nie zdjął na noc skarpetek; wiem o tym, bo spałem razem z nim. Po prostu u nas, czyli w Carabanchel, jak tylko zaczyna się szkoła, zaczyna się robić zimno. Tak już jest, udowodnili to uczeni z całego świata.

Minęła chwila, dwie chwile, po upływie trzeciej zdałem sobie sprawę, że nie mogę zasnąć: jutro zaczyna się szkoła i wszyscy będą mieli tyle rzeczy do opowiadania, że może nikogo nie będzie obchodzić to, co mi się przydarzyło na Gran Vía. Rozmyślałem o tym wszystkim, ale nie odzywałem się, bo sądziłem, że dziadek już śpi. Wtem szepnął mi do ucha:

– Mieliliśmy wspaniałe popołudnie, prawda, Mateuszkule? Jak opowiem jutro w Klubie Emeryta, że pani prezenterka przyniosła mi szklanek wody, nikt nie uwierzy. Całe szczęście, że mam świadka.

Nie odezwał się więcej, usnął i zaczął sapać. Sapie, bo idąc spać, wyjmuję zęby. Spiker w radiu powiedział coś o dzieciach, które zaczynają jutro szkołę. Co za facet, musiał mi przypomnieć największą przykrość, jaka mnie czeka.

Właściwie to powrót do szkoły ma też swoje dobre strony: zobaczę Zuzię, Uszatka... Z Uszatkiem spotykałem się przez całe lato, niech go kaczki zdepczą.

Teraz dziadek sapał jak miech. Zauważyłem, że położył się do łóżka w czapce. Zawsze tak jest, kiedy przydarzy mu się coś ważnego: zapomina zdjąć czapkę. Będzie mu przynajmniej ciepło

w głowę. Bo dziadek nie ma ani zębów, ani włosów na głowie. A język ma, jak pewnie zauważyłeś, mocno niewyparzony.

Zacząłem już chyba zasypiać, gdy nagle zorientowałem się, że trzymam coś w ręce. To był guzik do kurtki. Nie wypuszczałem go z ręki przez całe popołudnie. Pomyślałem, że mama przyszyje mi go jutro, może się nie martwić.

Przeżyłem najważniejszy dzień w moim życiu, ale to nie ma znaczenia. Nikt mnie już nie uwolni od szkoły ani od zimy, ani od kurtki. Najgorsze jest to, że nikt mnie już nie uwolni od kurtki.

^[1] In person (ang.) – osobiście.

ROZDZIAŁ TRZECI

Co za idiotyczna diagnoza!



Zuzia mówi, że w Hiszpanii do psychologa chodzą ci, których wszyscy mają dosyć; dawniej wysyłano ich na bezludne wyspy, ale teraz na świecie jest tylu Chińczyków, że już nie ma bezludnych wysp, i dlatego muszą istnieć psychologowie.

Wysłuchujemy cierpliwie jej gadek, bo jest dziewczyną; chłopakowi dalibyśmy niezły wycisk, spokojna głowa.

Powiedziała to Uszatkowi Lopezowi, mojemu najlepszemu koledze (choć jest z niego zdradziecka świnia), Kamilowi, największemu łobuziakowi na osiedlu, i mnie, czyli – mówiłem ci to już tysiąc razy – Mateuszkowi Okularnikowi. Powiedziała nam to, gdy czekaliśmy w kolejce do pani psycholog w naszej szkole. Mieliśmy z nią rozmawiać każdy z osobna, bo jak jesteśmy we trzech, nikt z nami nie może wytrzymać, ponieważ najpóźniej za trzy lata zostaniemy przestępcami. To nie ja tak uważam, tylko nasza pani, która oprócz tego, że jest nauczycielką, przepowiada również przyszłość swoich uczniów. Nie potrzebuje do tego ani szklanej kuli, ani kart: wlepia w człowieka oczy i widzi go za ileś lat jako jednego z najgroźniejszych przestępców w dziejach świata albo jako wielokrotnego laureata Nagrody Nobla. Innych możliwości nie przewiduje.

Ponieważ rodzice Uszatka się rozwiedli, jego mama zaprowadziła go do pani psycholog, żeby z powodu tego stresu nie stał się, kiedy dorośnie, notorycznym mordercą. Jeśli chodzi o Kamila, nasza pani mówi, że to jest trudne dziecko, które łobuzuje od rana do wieczora. Któregoś dnia kazała nam narysować rodziców i Kamil narysował swoją mamę z wąsami, a tatę z rogami. Myśmy się z tego bardzo uśmiali, strasznie, okropnie; gdyby był konkurs Eurowizji na rysunek przedstawiający rodzinę, Kamil na pewno zająłby pierwsze miejsce. Ale nasza pani nie lubi, kiedy rysujemy mamy, które nie stosują depilacji, a poza tym zawsze musi wszystko zepsuć, więc zabrała Kamilowi rysunek i wezwała jego rodziców, bo chciała zobaczyć, jak naprawdę wyglądają z wąsami i rogami. Mamie było

trochę widać wąsy, za to tata wcale nie miał rogów – co za rozczarowanie! Mówię o tym, bo może ktoś jest ciekawy.

Mama zaprowadziła mnie do pani psycholog, która za każdym razem prosi, żeby mówić do niej „pani magister”, ale w naszej szkole to nie przejdzie; mówimy do wszystkich „p-sze pani”, a jak się komuś nie podoba, to mógł się nie pchać na ten świat, bardzo mi przykro.

Mama zaprowadziła mnie do pani psycholog, bo gadam jak najęty i mama mówi, że kręci jej się od tego w głowie. Tak mówi mama i z tego powodu zaprowadziła mnie do pani psycholog. Pewnie pomyślała: „Jak sobie z nią pogada, to może będzie trochę mniej gadał w domu”. Ale się pomyliła. Byłem u pani psycholog tylko dwa razy i po przyjściu do domu miałem jeszcze większą ochotę na gadanie, bo jak mówi dziadek: „Dzieciak nie o wszystkim zdąży jej opowiedzieć”.

Wizyty u pani psycholog były fantastyczne. Wszedłem i zapytałem najgrzeczniej, jak umiałem:

– Co mam robić, p-sze pani?

Pouczyła mnie, że się nie mówi p-sze pani, ale na próżno, bo jak się już do czegoś przyzwyczaję, bardzo trudno mi się przestawić. Tak jest na przykład z Głupkiem. „Nie mów na swojego braciszka Głupek!”, woła cała Hiszpania; ale ja tego nie robię, żeby go przezywać, tylko dlatego, że nie pamiętam, jak ma naprawdę na imię.

Pani psycholog poprosiła mnie, żebym jej opowiedział o wszystkich swoich problemach, więc zapytałem:

– Chce pani, żebym zaczął od dnia, w którym się urodziłem?

Zapytałem o to, bo lubię stawiać sprawy jasno. A poza tym, prawdę mówiąc, jestem straszny zgrywus. Ale pani psycholog było wszystko jedno; oświadczyła, że mogę jej opowiadać, o czym tylko zechcę, i że mamy tyle czasu, ile będzie trzeba, bo ona jest od tego, żeby mnie wysłuchać. Pomyślałem sobie: „Ale fajnie!”. Zanim zacząłem opowiadać dzieje mojego życia, zapytałem:

– Czy można zapalić?

Popatrzyła na mnie tak, jak gdyby nagle zobaczyła potwora, i przypomniała, że dzieci nie palą. Ale sprytna! Siedziała, biedaczka, z rozdziawioną gębą, dopóki jej nie wyjaśniłem, że to był żart. Tak mi jej było żal, że dała się nabrać na ten idiotyczny dowcip, który zna już mama i nasza pani, na który nikt się nie dał nabrać i który nigdy nikogo nie rozśmieszył; tak mi jej było żal, że zacząłem opowiadać dzieje mojego życia.

Zacząłem od tego, że rodzice wzięli kredyt, żeby kupić ciężarówkę, i nazwali ją Mateuszek z myślą o dziecku, które wciąż nie mogło się zdecydować na przybycie z krainy umarłych. O tej krainie, gdzie wszystkie dzieci czekają, aż się urodzą, mówił mi Kamil; zarzekał się, że on jeszcze pamięta, jak tam był. Unosisz się beztrząsco w powietrzu, aż pewnego dnia zjawia się gigantyczna ręka i mówi: „Ej, ty – mówi ty, bo w tym momencie nikt jeszcze nie ma imienia – teraz twoja kolej”.

Przenosisz się wtedy w nadprzyrodzony sposób do sali porodowej jakiegoś szpitala i lekarz daje ci klapsa w tyłek. Dlaczego? Bo się urodziłeś. I od tego decydującego momentu zaczyna się twoje życie w Carabanchel albo w Hollywood, zależnie od tego, dokąd cię zanieśie gigantyczna ręka. Mnie zanieśła do Carabanchel. Radzę ci jednak: nie traktuj tego całkiem poważnie,

bo ten łobuziak Kamil wymyśla niestworzone historie, żeby udawać mądralę; ostrzegam cię, a ten, kto ostrzega, nie jest zdrajcą.

Ale o czym to ja mówiłem? Aha, że nagle się urodziłem. Musieli mamie zrobić operację, żeby nie umarła przy moich narodzinach, bo podobno miałem głowę niczego sobie. Mama uwielbia o tym opowiadać, żeby się wszyscy ze mnie śmiali.

Pochwaliłem się też, że przez pierwsze trzy miesiące byłem sławny, bo tak płakałem, że sąsiedzi nie mogli spać, i że któregoś dnia tak się zaśmiewałem, że aż straciłem przytomność. Mama mówi: „Ten – ten, czyli ja – to gada od urodzenia”.

Właściwie opowiedziałem jej wszystko, co pamiętałem z pierwszych trzech albo czterech lat życia. Wtedy pani psycholog (wyglądała w tym momencie, jakby wciąż jeszcze była w krainie umarłych) stwierdziła, że mogę już sobie iść, a ja zapytałem:

– Dlaczego, p-sze pani? Czy to, co mówię, jest niezbyt ciekawe?

– To, co mówisz, jest fantastyczne – powiedziała pani psycholog – ale minęło już półtorej godziny.

Półtorej godziny! Minęło jak chwila. To było najszcześniejsze półtorej godziny w moim życiu. Pani psycholog pożegnała się ze mną, ziewając. Mama powiedziałaby: „Głodna albo chce jej się spać”. Pewnie była głodna.

Ja byłem bardzo zadowolony, bo wreszcie zabłysnąłem. Opowiedziałem jej wszystko tak jak w filmach, w których pokazują to, co się zdarzyło przed narodzeniem głównego bohatera. Wspomniałem nawet o tym, że moi rodzice zabudowali balkon, żebym mógł tam spać razem z dziadkiem, bo przyjaciółki mamy często rozmawiają o takich sprawach jak zabudowanie

balkonu albo cyklinowanie podłóg. Pani psycholog poprosiła, żebym przyszedł znowu w przyszłym tygodniu.

Przez cały tydzień notowałem wszystko, co się zdarzyło od trzeciego do ósmego roku mojego życia. Pytałem dziadka, rodziców, panią Lusię i każdego, kto ma szczęście znać mnie od urodzenia. Przez dwa dni zapisałem cały zeszyt w linie. Mama kupiła mi drugi, bo powiedziałem, że jest mi koniecznie potrzebny na lekcje z panią psycholog.

Jak poszedłem drugi raz do pani psycholog, wziąłem ze sobą trzy zeszyty w linie na temat mojego życia i wszystkich jego problemów. Każdy zeszyt miał osobny tytuł. W pierwszym opisałem to, co mi się przydarzyło od trzeciego do piątego roku życia. Zatytułowałem go:

„Moje życie bez Głupka”.

W tym zeszycie była mowa o tym, jak wyglądał świat, zanim Głupek wpadł na pomysł, żeby przybyć z krainy umarłych, i jacy dobrzy byli ludzie: o wszystko grzecznie prosili, nie było porwań, motocykle miały tłumiki, nie było głodu w Afryce, a w łazience nie kapalo z rury, co strasznie denerwuje mamę. Jak Głupek albo ja płaczemy, dziadek mówi:

– A w ubikacji kapie przez sąsiada z góry, bo on nigdy nie trafia do sedesu, jak robi siusiu.

Mówi tak, bo dobrze wie, że choćbyśmy zanosili się od płaczu, zaraz zaczniemy tarzać się po podłodze ze śmiechu, tak nas to rozbawi. Mama się wścieka i krzyczy:

– Tylko tego brakowało, żebyś im zaczął opowiadać świństwa; i tak okropne z nich świntuchy.

Zanim pojawił się Głupek, nie byłem takim świntuchem, słowo daję; ale pewnego pięknego dnia odkrywasz, że twój brat najbardziej się śmieje, kiedy mówisz świństwa, i wtedy masz nadzieję, że zabijesz go śmiechem.

Nie pamiętam, czy opowiedziałem pani psycholog tę ostatnią historię o przeciekającej rurze w ubikacji, bo jak byłem u niej drugi raz, pozwoliła mi przeczytać tylko pierwszy zeszyt. Kiedy czytałem, zdawało mi się chwilami, że panią psycholog ogarnia senność jak dziadka po jedzeniu, bo jest chory na prostatę. Zapytałem panią psycholog, czy dlatego chce jej się spać, że choruje na prostatę. Odpowiedziała, że nie chce jej się spać (co było nieprawdą), że nie choruje na prostatę, że żadna kobieta nie choruje na prostatę, że nasze spotkanie dobiegło końca i że nie ma potrzeby, żebym nadal do niej przychodził.

Pani psycholog nie dopatrzyła się u mnie żadnych stresów. Myślę, że nie przyjrzała mi się dość uważnie. Powiedziała mamie, że jedynym moim problemem jest to, że lubię gadać, uwielbiam gadać, po prostu kocham gadać, ale to nie jest choroba, raczej pewna przypadłość, podobnie jak bóle głowy albo coś w tym rodzaju. Co za idiotyczna diagnoza, taką diagnozę to i ja umiałbym postawić, nie ma sprawy.

Pani psycholog poradziła mamie, żeby wysłuchiwała od czasu do czasu tego, co mam do powiedzenia. Mama na to:

– A co ja robię???!!!

Kamil powiedział na przerwie, że pani psycholog mnie spławiła, żebym jej nie zawracał głowy przez dwie godziny w tygodniu. Zadziera nosa, bo jego nie wyrzuciła. Tylko mnie. Tylko mnie. Gdyby nie okulary, dałbym mu nauczkę, ale nie mam najmniejszej

ochoty oberwać z dwóch stron: od Kamila i od mamy, gdy zobaczy stłuczone okulary. Ja nie jestem zwolennikiem nadstawiania drugiego policzka. Tata mówi: „Jak ktoś ci przyleje, to mu oddaj”.

Żeby znowu oberwać? Nie ma głupich.

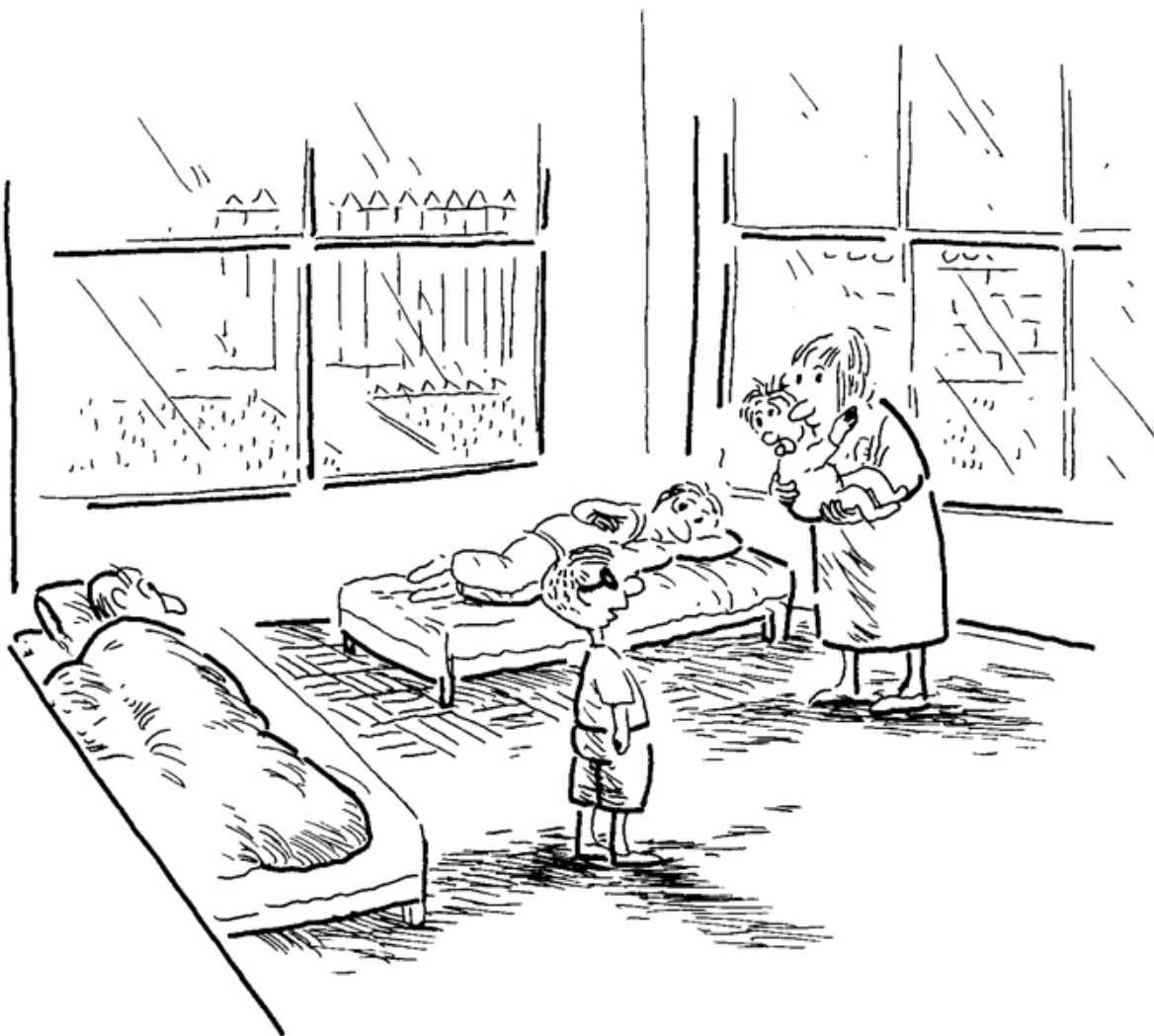
Prawdę mówiąc, ta historia z panią psycholog trochę mnie podłamała. Wyobraź sobie, że poszedłeś zrobić analizę moczu, odbierasz wynik i czytasz:

„Nudziarz z pana”. Podpisano: doktor Morales.

To boli. Mojej mamie też musiało być głupio, bo mruknęła:

– Będzie mi tu wciskać ta lafirynda, że nie pozwalam dziecku się wygadać. Toż przy nim nie ma kiedy pralki nastawić.

W końcu musiałem się rozplakać; ty byś na moim miejscu zrobił to samo. Wtedy mama obiecała, że wieczorem wszyscy będą słuchać tego, co mam do powiedzenia, żeby nikt obcy nie twierdził, że nie dają mi się w domu wygadać.



Przed chwilą wszyscy przyszli do mojego pokoju. Prawdę mówiąc, byłem trochę speszony. Dziadek leżał w swoim łóżku. Mama usiadła na moim z Głupkiem na rękach. Tata wyciągnął się jak długi. Powiedzieli:

– Słuchamy cię.

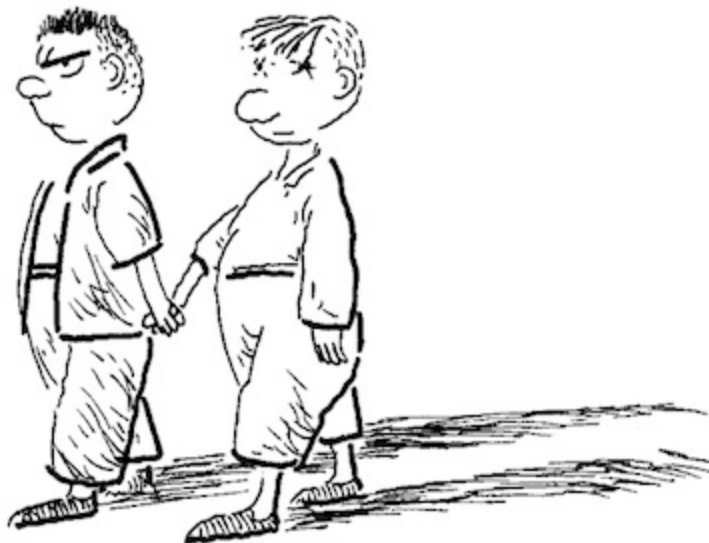
Nie lubię improwizować: wziąłem swoje dwa zeszyty i zacząłem czytać. Jak zaczynałem drugi, przerwało mi chrapanie taty. Chrapał, aż się wszystko trzęsło. Nie wiedziałem, co robić, bo zajęli moje łóżko, i nie miałem gdzie się położyć. W końcu

zostawiłem ich tam zwiniętych w kłębek i postanowiłem pójść do łóżka rodziców. Zgasilem światło, wyłączyłem radio i przykryłem ich kołdrą dziadka. Jutro rano mama na pewno powie, że bołą ją wszystkie kości. No cóż, bardzo mi przykro. Dobrze im tak, bo nie wysłuchali do końca historii mojego życia. Dojdę w końcu do wniosku, że nawet barany zasnęłyby przy moich zeszytach.

Jutro na pewno dostanę burę. Nie wiem za co, ale na pewno dostanę. To się przeczuwa, tak samo jak pałę z klasówki. Zuzia mówi, że jak ktoś zalażł wszystkim za skórę, to się go wysyła do psychologa, i że dawniej wysyłano takich ludzi na bezludne wyspy. Gdybym miał wybierać między naszą panią psycholog a bezludną wyspą, wolałbym... łóżko moich rodziców. Jest to największe bezludne łóżko, jakie w życiu widziałem, chociaż ma tylko 1,35 metra szerokości, dla kochających się małżeństw. Ale mama mówi, że z tymi kochającymi się małżeństwami to tylko takie gadanie.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Kapitan Gorzała



Parę dni temu nie poszedłem do szkoły, bo byliśmy z tatą zapisani do okulisty. A wszystko przez tego typa spod ciemnej gwiazdy, który się nazywa kapitan Gorzała. Podczas tych dni poczułem na własnej skórze, czym jest przemoc w życiu człowieka. Chciałbym, żeby Rambo znalazł się w równie okropnej sytuacji jak ja. Od razu by spuścił z tonu.

Opowiem ci to od samego początku. No więc któregoś dnia poszliśmy sobie najspokojniej w świecie z Uszatkiem Lopezem do parku z Drzewem Wisielca (tak go nazywamy, bo rośnie tam tylko

jedno drzewo, z Dalekiego Zachodu, które doskonale się nadaje do tego, żeby się na nim powiesić) i bawiliśmy się w Indian, aż tu ni stąd, ni zowąd zjawia się ten łobuziak Kamil i mówi:

– Teraz będziemy się bawić, że ja jestem kapitanem Ameryka. – Po wydaniu tego stanowczego rozkazu wskazał na Uszatka i dodał: – On będzie dziewczyną, a Mateuszek obrzydliwym zdrajcą i będę z nim walczył na śmierć i życie, odbiję mu dziewczynę, a Mateuszek wyląduje na ziemi z rozwaloną głową.

To cały Kamil: lubi, żeby reguły gry od początku były jasne.

Widząc, że krucho ze mną, sprzeciwiłem się:

– To ja już chyba wolę być dziewczyną.

Ten nędzny tchórz Uszatek był zachwycony rolą, jaką wyznaczył mu Kamil.

– Nie, ja będę dziewczyną, bo w tej zabawie najfajniej jest być dziewczyną; będę się czuł jak aktorka z Hollywood, która dostała Oscara za najlepszą rolę drugoplanową.

Spojrzałem na niego wzrokiem pełnym nienawiści i wpadłem na pomysł, żeby zapytać:

– A może jutro się pobawimy? Muszę się przygotować psychicznie.

Nic z tego. Ten łobuziak Kamil odpowiedział:

– Teraz.

Uszatek zaczął wrzeszczeć wniebogłosy, udając skrzywdzoną księżniczkę, a ja puściłem się biegiem, jakbym zamierzał wygrać na sto metrów. Należę do tych facetów, którzy najchętniej walczą po wycofaniu się na z góry ustalone pozycje. Ale na tym świecie ludzie dzielą się na dwie grupy: tych, którzy wygrywają wyścigi,

i tych, którzy je przegrywają. Ja należę do tych drugich. Ten łobuziak Kamil złapał mnie za kaptur od kurtki i wrzasnął:

– Broń się, Okularnik! Masz szczęście walczyć z największym bandytą w klasie, czyli ze mną.

No cóż, jeżeli tak na to spojrzeć, rzeczywiście miałem szczęście. Jasne, że nikomu nie jest wszystko jedno, czy się przechwala, że podbił mu oko Rambo, czy musi się przyznać, że znokautował go Jaś Fasola.

Nie mogłem bronić się rękami, bo ten decydujący moment mojego życia przeżywałem tak mocno, że całe ciało miałem sparaliżowane. Nie pozostało mi więc nic innego, jak bronić się ustami; zawsze tak robię, kiedy ktoś zamierza poderżnąć mi gardło. Jeśli mówię, że broniłem się ustami, to nie znaczy, że gryzłem; nie myślcie sobie, że jestem bandytą. Chodzi mi o to, że broniłem się za pomocą słów.

– Ja jestem królem, a króla nikomu nie wolno bić, bo konstytucja na to nie pozwala, więc jak mnie uderzysz, wylądujesz w więzieniu i cały naród hiszpański zwróci się przeciwko tobie.

Musisz przyznać, że gdyby urządzono światowy konkurs zdań, moje przeszłoby co najmniej do finału. Ale Kamil gwizdże na wielkie zdania; to klasyczny typ twardziela, twardziela, jakich mało.

– Guzik prawda, że jesteś królem; królowie nie noszą okularów, a jak się któryś urodzi w okularach, to go wysyłają za granicę i biorą innego.

Tego się nie spodziewałem. Tata opowiadał mi, że dzięki okularom nie wzięli go do wojska, ale nie wiedziałem, że z powodu

okularów nie można zostać królem. Nie miałem wprawdzie nigdy takiego zamiaru, ale pomyślałem sobie w tym momencie, że jest to jedyny zawód, jakiemu warto się poświęcić, jeżeli można się w ten sposób obronić przed niebezpiecznymi typami w rodzaju Kamila.

Widziałem raz w telewizji faceta, który opowiadał, że leciał kiedyś najspokojniej w świecie samolotem, aż tu nagle pilot ogłasza, że nawaliły silniki i czeka ich przymusowe lądowanie. Facet, który był Amerykaninem, ale nie był aktorem, opowiadał, że gdy samolot pikował w dół, pomyślał: „To są ostatnie chwile mojego życia”, i wtedy wszystko, co robił od urodzenia, przeleciało mu przez głowę jak film. No więc mnie się przydarzyło coś podobnego, ale w odwrotną stronę; w momencie, gdy ten bandyta Kamil ciągnął mnie za kurtkę, a ja miałem za chwilę upaść na ziemię z rozwaloną głową, ujrzałem swoje życie jak w filmie, ale nie przeszłość, tylko przyszłość. Zobaczyłem to, co mnie czeka; przez głowę przelatywały mi całe dni, ale z taką prędkością, że prawie nic nie pamiętam. Oprócz dwóch rzeczy: że zostałem królem i że wieczorem, po wiadomościach, pokazywali mnie i moją rodzinę w telewizji, tak jak teraz pokazują króla i królową Hiszpanii. Ja byłem w królewskim płaszczu i koronie trochę na bakier, bo tak lubię nosić korony; obok mnie siedział dziadek w odświętnym garniturze, a za nami stali rodzice; mama trzymała na rękach Głupka. Wszyscy byliśmy uśmiechnięci i grali hymn Hiszpanii: „Pam–pa–ram–pam, pam–pa–ram–pa–ram–pam, ti–ra–ram–ta–ri–ram...!”. Ale Kamil ścisnął mnie mocniej za szyję i mój umysł musiał wrócić do rzeczywistości.

Tak więc Kamil twierdził, że królowie nie mogą nosić okularów. Na szczęście mam refleks, więc odparowałem:

– Kłamiesz! A król Baldwin?

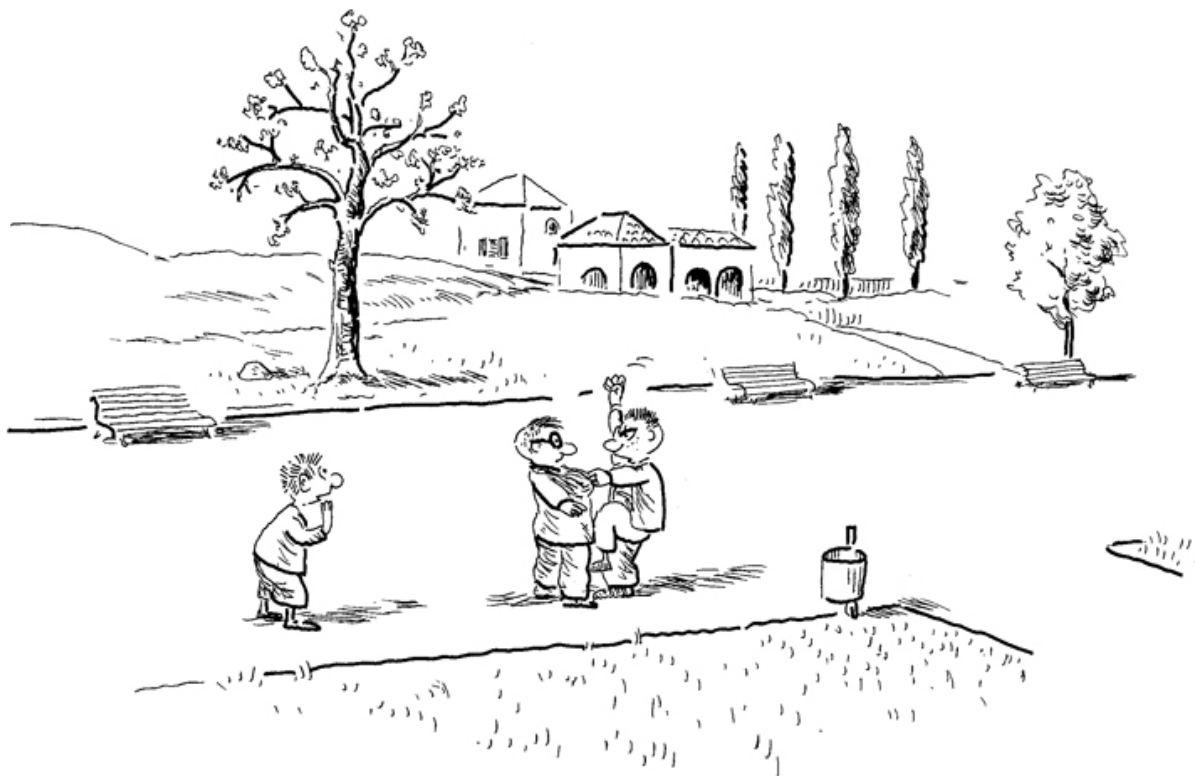
Ale go znokautowałem! Przypomniał mi się król Baldwin, bo nasza sąsiadka, pani Lusia, mówiła, że okropnie płakała, jak umarł Baldwin I, król Belgii. Ona spędzała wakacje w Motril, tak jak Jego Wysokość, i mówiła, że on był bardzo dobrym człowiekiem, bo się ożenił z Hiszpanką, która się nazywała tak jak jedna aktorka, Fabiola, ale biedaczka należała do tych Hiszpanek, które są niezbyt ładne. Pani Lusia mówiła, że w Motril mieszkali drzwi w drzwi. Mama zawsze szepce za jej plecami: „Tak, drzwi w drzwi. Już jak ona coś wymyśli...”.

Kamil strasznie się wkurzył, gdy usłyszał o królu Baldwinie i jego okularach, i zawołał:

– Koniecznie chcesz być królem, Okularnik?!

Ciągle mnie nazywał Okularnikiem. Popełniłem historyczną pomyłkę i odpowiedziałem, że tak. Nie myśl sobie, że mnie ostrzegł; rąbnął pięścią prosto w prawe szkło moich okularów i odwrócił się na pięcie, mówiąc:

– Zadanie wykonane.



Widocznie są chłopcy, którzy mają za zadanie walić mnie pięścią w parku Wisielca. W tym bolesnym momencie mojego życia zobaczyłem, że zbliża się dziadek, więc pomyślałem, że mam zabezpieczony odwrót, i krzyknąłem do tego łobuziaka Kamila:

– Nigdy nie będziesz kapitanem Ameryka! Możesz być co najwyżej kapitanem Gorzała! Wszyscy będą na ciebie wołać kapitan Gorzała!

Bo wszyscy klienci pobliskiego baru nazywają jego tatę Gorzała, oczywiście nie bez powodu.

Musiało go to zboleć równie mocno, jak mnie jego cios, bo odwrócił się i nie zważając na dziadka, chwycił moje okulary i rzucił nimi tak celnie, że zawisły na Drzewie Wisielca.

Dziadek nie mógł za nim pobiec, bo jest chory na prostatę. Okulary wisiały tak wysoko, że musieliśmy w nie rzucić

kamieniami, żeby spadły.

Wróciliśmy do domu. Mama najpierw mnie przytuliła, widząc, w jakim stanie jest moje oko, a potem dała mi kuksańca, widząc, w jakim stanie są moje okulary. Dziadek krzyknął:

– Przynajmniej ty go zostaw w spokoju, starczy mu już na dzisiaj!

Skończyło się na tym, że wieczorem wszyscy mnie pocieszali i opowiadali filmy, bo bez okularów widzę jak przez mgłę.

Nagle, bez uprzedzenia, tata zakasuje rękawy i mówi:

– Mateuszkule, nauczę cię typowego ciosu Garcíi, żeby ani syn Gorzały, ani żaden inny synalek więcej z tobą nie zaczynał.

Nie chodzi mi o to, żeby wychwalać tatę, ale typowy cios Garcíi jest naprawdę bombowy. Najpierw zrobił mi wykład teoretyczny.

– Musisz udawać, że będziesz atakował z lewej, a jak przeciwnik zasłoni się z tej strony, położysz go prawym sierpowym.

To był najwspanialszy cios, jaki widziałem w życiu. Potrzebne były już tylko trzy wykłady teoretyczne, a przy czwartym tata powiedział:

– A teraz pokaż, Mateuszkule, do czego jest zdolny syn Mateusza Garcíi.

To był mój pierwszy profesjonalny cios.

Rozwaliłem mu okulary. Nie wiem, jak to się stało, że stłukłem oba szkła naraz. Dziwna sprawa. Byłem tak zdumiony, że zapytałem tylko:

– Jak ja to zrobiłem?

Tata odpowiedział szeptem:

– Zmykaj do łóżka, Mateuszk, zanim nabiorę ochoty, żeby ci oddać.

Pobiegłem natychmiast do łóżka, naciągnąłem kołdrę na głowę i pomyślałem: „Obym się obudził co najmniej dwa miesiące po tym przeklętym dniu”. Ale moje uszy nie przestały działać i usłyszałem, jak mama mówi w przedpokoju do taty:

– Chcecie zrobić z optyka milionera?!

Tego wieczoru powiedziałem dziadkowi, że będę z nim spał całą noc. Boję się spać bez okularów. Jak mam pechowy dzień, zdarza mi się potknąć nawet we śnie, nieraz już tak było. Kiedy leżałem w łóżku, zaczęło mnie swędzić całe ciało, jak zwykle, gdy jestem zdenerwowany. Muszę się wtedy drapać i drapać, jak parszywy pies porzucony na środku autostrady.

– Jak nie przestaniesz, podrapiesz się do krwi.

– Ale ja nie mogę zasnąć; przez Kamila będę spać bez okularów, przez Kamila stłukłem tacie okulary, a najgorsze jest to, że jak pójdę do szkoły, znowu się spotkam z Kamilem i wpadnę w jego łapy. Stłucze mi następne okulary, i następne, i następne, bo się na mnie uwziął, dziadku.

– Jak wrócisz jutro od okulisty, policzymy się z Kamilem.

– Jeżeli go zbijesz w mojej obronie, nazwą mnie babą.

– Nie będę go bił, wystąpię jako mediator.

– Mediator? A kto to taki?

– To jest ktoś, Mateuszk, kto jest potrzebny w czasie wszystkich wielkich wojen. Mediator potrafi sprawić za pomocą słów to, czego nie są w stanie sprawić pięści ani bomby.

Miałem ochotę powiedzieć dziadkowi, że słowa wpadają Kamilowi jednym uchem, a wypadają drugim. Kamil ma w nosie

to, co mówi do niego nauczycielka, jego mama, która ciągle na niego krzyczy, oraz dzieci takie jak ja. W komiksach ogląda tylko rysunki i najchętniej bawiłby się w tłuczenie innych: raz jako kapitan Ameryka, innym razem jako Batman, ale zawsze chodzi o to samo: tłuc innych, a raczej tłuc mnie.

Na drugi dzień poszliśmy z tatą do okulisty. Ponieważ żaden z nas dobrze nie widział, wzięliśmy taksówkę. Bardzo dziwnie było wyjść z tatą z domu w zwykły dzień rano; na ogół chodzę wszędzie z mamą. Było fantastycznie. U okulisty jest strasznie fajnie. Uwielbiam, jak facet mnie pyta, co tam widzę, a ja mówię: „P, a teraz J, a teraz K”. To jedyna chwila w życiu, kiedy cię o coś pytają i nie obrywasz za to, że dałeś złą odpowiedź.

Po okuliście poszliśmy do kawiarni na drugie śniadanie. Powiedziałem tacie, że chcę usiąść przy barze na takim taborecie, który się kręci. Był okropnie fajny. Tata pozwolił mi zamówić gorącą czekoladę, ciastko z kremem i lody orzechowe. W kawiarni nie było ani jednego dziecka oprócz mnie, na pewno walczyły w tym momencie ze wszystkimi nauczycielkami, jakie istnieją na tym świecie. Zerknąłem do lustra, żeby obejrzeć fryzurę, którą sobie zrobiłem rano: przedziałek z boku i loczek jak u Supermana. Pomyślałem: „Może im się wydaje, że nie jestem dzieckiem, może myślą, że zamiast ośmiu lat mam osiemnaście. Może im się zdaje, że tata i ja jesteśmy kumplami albo kuzynami. Jasne, że jak stanę na podłodze, zobaczą, jakiego naprawdę jestem wzrostu. Wtedy mogą pomyśleć, że jestem karłem, który pracuje w cyrku...”.

Kelner podszedł do taty i powiedział:

– Widać, że mały jest przy apetycie. – A potem do mnie: – Jak będziesz tyle jadł, urośniesz większy od tatusia.

Są kelnerzy, którzy wszystko wiedzą. Ten wiedział, że jestem dzieckiem i że mój tata jest moim tatą. Widocznie moja twarz jest jak otwarta księga, mama zawsze tak mówi. Od razu widać, że nikogo nie potrafię oszukać.

Tata pozwolił mi zamówić drugie ciastko, a potem obrócił mnie parę razy na taborecie i obiecał, że zabierze mnie kiedyś ciężarówką w długą podróż. Widocznie nie miał do mnie żalu, że mu stłukłem okulary. Pomyślałem sobie wtedy, że ja też nie powinienem mieć żalu do Kamila, ale miałem, i to jaki! Miałem wtedy w sobie cały żal, jaki istnieje na kuli ziemskiej. Pod tym względem jestem podobny do mamy: ona też długo jest obrażona, jak coś zbroję.

Tego dnia wszystko było strasznie dziwne: tata jadł obiad w domu, jak w niedzielę. Tylko mama była taka sama jak zawsze i jak zwykle nie pozwoliła zostawić ani odrobiny jedzenia na talerzu. Dziadek mówi wtedy:

– Kto zjada ostatki...

– Ten jest piękny i gładki! – drzemy się z Głupkiem na całe gardło.

Dziadek odprowadził mnie do szkoły, jak co dzień po obiedzie, a rodzice zostali w domu, żeby uciąć sobie drzemkę. Zbliżała się chwila, kiedy dziadek miał wystąpić jako mediator w naszej Wielkiej Wojnie. Przy wejściu do szkoły stał Kamil ze swoim dziadkiem. Podeszliśmy do nich. Dziadek trzymał mnie za rękę. Byłem przygotowany na to, że znów dostanę pięścią w nos. Teraz

nie mógł mi przynajmniej stłuc okularów: zostawiliśmy je u optyka.

– Patrz pan, panie Franiu – odezwał się dziadek do dziadka Kamila – jak mój wnuk dostał wczoraj pięścią w oko.

– A to łobuz! – oburzył się dziadek Kamila, żeby załagodzić sprawę. Kamil patrzył w bok, jakby rozmowa dotyczyła kogoś innego. – Ale dlaczego się nie broniłeś, Mateuszk?

– Bo tamten był silniejszy – wyjaśnił dziadek. – W dodatku stłukł mu okulary.

– Wyobrażam sobie, ile to będzie kosztować – powiedział pan Franio. – Gdyby mój Kamil był przy tym, na pewno dałby temu nicponiowi nauczkę, prawda, Kamil?

Kamil czerwony jak burak patrzył w ziemię, ale kiwnął głową, że tak. Dziadek podszedł do niego bardzo blisko i zakończył rozmowę następującymi słowami:

– Mam nadzieję, że następnym razem tak będzie. Łobuz może być pewien, że jak znowu coś podobnego zrobi, złoimy mu wszyscy skórę, bo to jedyny sposób na takich tchórzy, co biją tylko słabszych od siebie. A teraz, Mateuszk, idź z Kamilem do klasy; możesz się już nie bać, w razie czego on cię obroni; jak pójdziesz z Kamilem, dziadek będzie spokojny.

To było niesłychane. Dziadek powinien dostać pokojową Nagrodę Nobla.

Bez słowa weszliśmy z Kamilem do szkoły. Na lekcji Kamil przysłał mi karteczkę. Napisał na niej:

Czy myślisz, że tfój dziadek powie mojemu dziadkowi, że to ja stłukłem ci okulary?

Odpisałem mu:

Nie wiem, czy mój dziadek powie tfojemu dziadkowi, że to tfoja sprawka.

Nie sędzę, żeby Kamil się zorientował, że specjalnie napisałem „tfój” przez f; on nie zwraca uwagi na takie subtelności.

Byłem pewien, że dziadek go nie wsypie, ale chciałem łobuziaka nastraszyć.

Kiedy wyszliśmy ze szkoły, dziadkowie czekali na nas. Zacząłem biec w ich kierunku, ale się potknąłem, bo nie miałem okularów. Właściwie jeżeli mam być całkiem szczery, to potykam się i w okularach, i bez, przy każdej możliwej okazji. Wtedy zdarzyło się coś niesłychanego: Kamil schylił się i pomógł mi podnieść plecak i sweter. Chętnie zrobiłbym zdjęcie największemu łobuziakowi na kuli ziemskiej, jak zbiera moje rzeczy. Coś takiego nieczęsto się zdarza. Kiedy się podniosłem, Kamil powiedział:

– Na pewno mu wypaplał.

Czyli że łobuziak miał stracha. To była chyba jedna z najszcześniejszych chwil w moim życiu na Błękitnej Planecie. Ale nie, mój dziadek Mikołaj nie puścił pary z gęby, nic z tych rzeczy. Kamil od razu się skapował, bo jego dziadek zachowywał się wobec niego tak jak zwykle. Poszliśmy do domu we czterech, obaj dziadkowie i my dwaj. Nigdy jeszcze nie szedłem ulicą razem z Kamilem. Czasami podchodził do mnie, żeby mi dać kopniaka, i to był nasz jedyny bliższy kontakt. No i wtedy, kiedy mi stłukł okulary. Kamil przerwał lodowate milczenie, które nas dzieliło:

– Nie pozostaje nam nic innego, jak być kolegami.

– No tak, sam słyszałeś od dziadka, co cię czeka, jak mnie jeszcze raz dotkniesz.

W tym momencie zjawił się Uszatek i zbaraniał na nasz widok. Nie mógł uwierzyć, że Kamil i ja idziemy ulicą jak dwóch najnormalniejszych facetów.

– Co się gapisz, baranie? – zapytał go grzecznie Kamil.

Uszatek rzucił się do ucieczki, ale zatrzymałem go i zwróciłem się do Kamila:

– Jeżeli jesteś moim kolegą, z nim też się będziesz musiał kolegować. Odpowiadaj: tak czy nie?

Napięcie sięgnęło szczytu. Kamil odparł w końcu, że tak. Powiedział, że tak i że nie ma innej rady, nic innego mu nie pozostaje. Ale on też postawił swoje warunki:

– A ty przysięgnij na swojego tatę, że nigdy w życiu już na mnie nie powiesz kapitan Gorzała.

Przysięgłem na tatę, mamę, Głupka, dziadka, ale przede wszystkim przysięgłem na siebie samego. Wiedziałem, że jeśli jeszcze raz wymówię to słowo, moje życie znajdzie się w niebezpieczeństwie. Tak czy owak, ponieważ nikt nie może wejść do mojego mózgu, mogę do końca świata nazywać go w myśli kapitanem Gorzałą!

Tej nocy musiałem znowu spać bez okularów i znowu z dziadkiem. Czułem się okropnie ważny, czułem się założycielem paczki, tak jak są założyciele krajów (na przykład Stanów Zjednoczonych, żeby wymienić największy kraj, jaki mi przychodzi do głowy).

Bardzo niewielu ludzi założyło w życiu paczkę; ja byłem jednym z nich. Zasłużyłem na pomnik w parku Drzewa Wisielca, pomnik

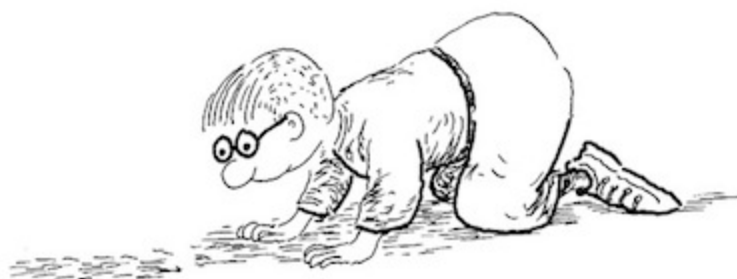
z napisem:

Mateuszek Okularnik. Sławny chłopiec, założyciel paczki, która bawiła się w miejscu, po którym teraz stąpasz.

Prawdę mówiąc, żadna z osób tworzących paczkę nie była całkiem pewna, czy chce do niej należeć, ale jak powiada mój dziadek: „Jeszcze się taki nie urodził, co by każdemu dogodził”.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Oryginalny grzech



Gdybym chodził na religię, musiałbym wypowiadać się księdzu z oryginalnego grzechu, jaki popełniłem pewnego dnia. Ale ponieważ chodzę na etykę, opowiem to tylko tobie, bo cię polubiłem, i różnym innym dzieciom, które też polubiłem, bo ja nie należę do tych, co to chodzą po ulicach i pytają: „Przepraszam bardzo, czy pan nie jest przypadkiem księdzem? Czy mógłby mnie pan wypowiadać z dość oryginalnego grzechu?”.

Ludzie wzięliby mnie za wariata. Jedni by warknęli: „Wypchaj się sianem i pomaluj na zielono!”, a drudzy uciekliby w popłochu. Mama zapisała mnie na etykę, żebym nabrał trochę dobrych manier, bo bardzo by mi się to przydało: „Żebyś przynajmniej tak nie mlaskał przy jedzeniu, synku”.

Dziadek mlaska jak nie wiem co, ale ponieważ ma sztuczną szczękę, patrzymy na to przez palce. Tak czy owak, jedyne, co

pani wychowawczyni robi z nami na etyce, to powtarza nam tysiąc razy, że jeżeli dalej będziemy tak rozrabiać jak teraz, to zostaniemy w końcu przestępcami. Ale to nic nowego, ona nam to mówi na wszystkich lekcjach, nawet na matmie, ta okropna kobieta powtarza mi to nawet we śnie.

A wszystko dlatego, że pewnego dnia popełniłem dość oryginalny (nie chwaląc się) grzech. Opowiem ci o tym od samego początku. Któregoś dnia dziadek przyszedł po mnie do szkoły. Jak na razie wszystko w porządku. Podał mi drżącą ręką kanapkę z kozim serem, a ja mówię do niego:

– Dziadku, ile razy mam ci powtarzać, że kozi ser przypomina mi zapach, jaki jest u nas w szatni?

Jak na razie wszystko w porządku. Dziadek odpowiada:

– Ależ nie, głuptasie, dałeś się nabrać, kozi ser jest dla mnie, a dla ciebie bułka z masłem i z nutellą.

Dziadek żartował już ze mną w ten sposób – nie przesadzam – sto pięćdziesiąt tysięcy pięćset dwadzieścia pięć razy, bo ma słabą pamięć i w dodatku jest chory na prostatę. Ja udaję, że to całkiem nowy żart, więc mówię:

– Całe szczęście, dziadku, bo już myślałem, że będę musiał jeść ten kozi ser.

On jest uszczęśliwiony, że ja się śmieję z żartu, który raz mi opowiada, a raz nie, czyli na dwoje babka wróżyła, jak mówi mama. Jak na razie wszystko było w porządku tamtego chłodnego, pochmurnego, zimowego popołudnia. Dziadek zapytał:

– Czy twoja wychowawczyni to jest ta młoda dziewczyna w czerwonej minispódniczce?

A ja odpowiedziałem:

– Niestety nie, dziadku, moja wychowawczyni to ta okropna starucha w czarnej, długiej spódnicy.

– Co za pech, Mateuszk, serdecznie ci współczuję.

Jak na razie wszystko było w porządku, bo dziadek nigdy nie traci nadziei, że moja wychowawczyni to ta młoda dziewczyna w minispódniczce, o którą zawsze pyta. Chciałby do niej podejść i pod pretekstem: „Jak mój wnuczek radzi sobie z matematyką?”, zaprosić ją na kawę ze śmietanką, bo dziadek zawsze to sobie funduje, jak odbierze emeryturę. Dziadek nigdy nie traci nadziei, jeżeli chodzi o dziewczyny. Zawsze mi mówi, że się w niego wrodziłem. To prawda, bo patrz, Zuzia nieraz już mnie wpuściła w maliny, a ja nic, wracam do niej jak muchy do kupy. Chociaż nie chcę przez to powiedzieć, że jestem muchą.

Jak na razie wszystko było w porządku. Prawie codziennie mówimy to samo, śmiejemy się z tego samego i jemy to samo na podwieczorek. Czyja to wina? Nas samych, bo lubimy słuchać zawsze tego samego, a komu się nie podoba, niech sobie jedzie do Norwegii, jak mój wujek Mikołaj.

No więc w tym niezbyt przełomowym dla naszego życia momencie wyrasta jak spod ziemi jeden z tych facetów, co to się kręcą po naszym osiedlu, i mówi do dziadka, żeby mu dał dwieście peset.

A dziadek na to:

– Uważaj, bo ci wsadzę w nos te dwieście peset.

Wtedy facet wyciąga wielgachny nóż i najbezpieczniej w świecie grozi:

– Oddawaj to, co masz, bo pożałujesz.

I jeszcze dodał, że ma AIDS i że AIDS jest na nożu. Dziadek na ogół zmienia zdanie, jak zobaczy nóż, więc powiedział:

– Już się robi. Mateuszk, daj pieniądze temu sympatycznemu panu.

Były u mnie. Mama wkłada mi je codziennie do kieszeni, żebym zagrał w totolotka, bo u nas w domu wszyscy chcieliby stać się nagle milionerami. Od razu widać, że jesteśmy z jednej rodziny.

Zacząłem wyciągać monetę po monecie. Mama daje mi zawsze monety, żeby pozbyć się drobnych z portfela, i oczywiście złodziej zaczął się niecierpliwić. Nawet jeżeli jakiś złodziej jest najlepszym człowiekiem pod słońcem, zdarzają mu się w życiu chwile, kiedy nie może dłużej czekać, bo ma co innego do roboty. Byłem tak zdenerwowany, że upuściłem sto peset na ziemię i jak facet się schylił, żeby je podnieść i uciec–nie–oglądając–się–za–siebie, zobaczyłem, że na nożu jest napisane:

„Pamiątka z Kruczej Góry”.

A ja, żeby znaleźć temat do rozmowy w chwili, gdy napięcie sięgało szczytu, powiedziałem:

– Ten nóż jest ze wsi, w której urodził się mój dziadek.

Więc dziadek zaczął go wypytować: „A dlaczego ty masz nóż z Kruczej Góry, a kiedy tam ostatni raz byłeś, a jak się nazywa twoja matka, a jaką masz grupę krwi, a jakiego koloru są twoje majtki...?”. Dziadek zawsze tak marudzi, jak spotka kogoś z Kruczej Góry. No i nasz złodziejasek mówi, że owszem, jest z Kruczej Góry, i mówi, jak się nazywa jego matka. (Matka złodzieja, a nie mama mojego dziadka, która umarła sto lat temu albo jeszcze dawniej i nie będziemy teraz płakać z powodu wszystkich ludzi, którzy umarli na Ziemi). Jego matka nazywała

się Jolanta; wołali na nią Wariatka. Mój dziadek ją znał. Złodziej poprosił, żeby broń Boże nie mówił jego matce, że on ma AIDS, boby się bardzo zmartwiła, a poza tym to było zwykłe złodziejskie kłamstwo. Dziadek postraszył go, że jak dalej będzie zaczepiał ludzi na naszym osiedlu, da znać Wariatce, która jest prawdziwym aniołem, oraz policji, żeby go zaprowadziła w kajdankach do więzienia. Ludzie będą go wtedy wytykać na ulicy palcami i mówić: „To jest ten oprych, który odważył się napaść na Mikołaja Moreno i Mateuszka Okularnika”.

Na koniec dziadek palnął:

– I oddaj mi ten nóż, bo nie chcę, żeby dobre imię mojej wsi zostało splamione twoimi występkami, łajdaku!

Tak mu powiedział. Trzeba przyznać, że nasz łajdacki złodziej zachował się przyzwoicie: oddał dziadkowi nóż „Pamiętka z Kruczej Góry” i zwrócił nam pieniądze „jak Pan Bóg przykazał”, jak mówi mama.

Myślałem, że to już koniec tej niezwykłej historii, ty też tak myślałeś i prezydent Stanów Zjednoczonych także, ale wszyscy trzej daliśmy plamę, bo najciekawsze było dopiero przede mną.

Dwa dni później nasza pani powiedziała:

– Ustawcie się w pary, bo idziemy do muzeum Prado.

Nie myśl, że to była niespodzianka. Wiedzieliśmy o tym od tygodnia, ale rzuciliśmy się wszyscy do drzwi, jakby prowadziły do raju.

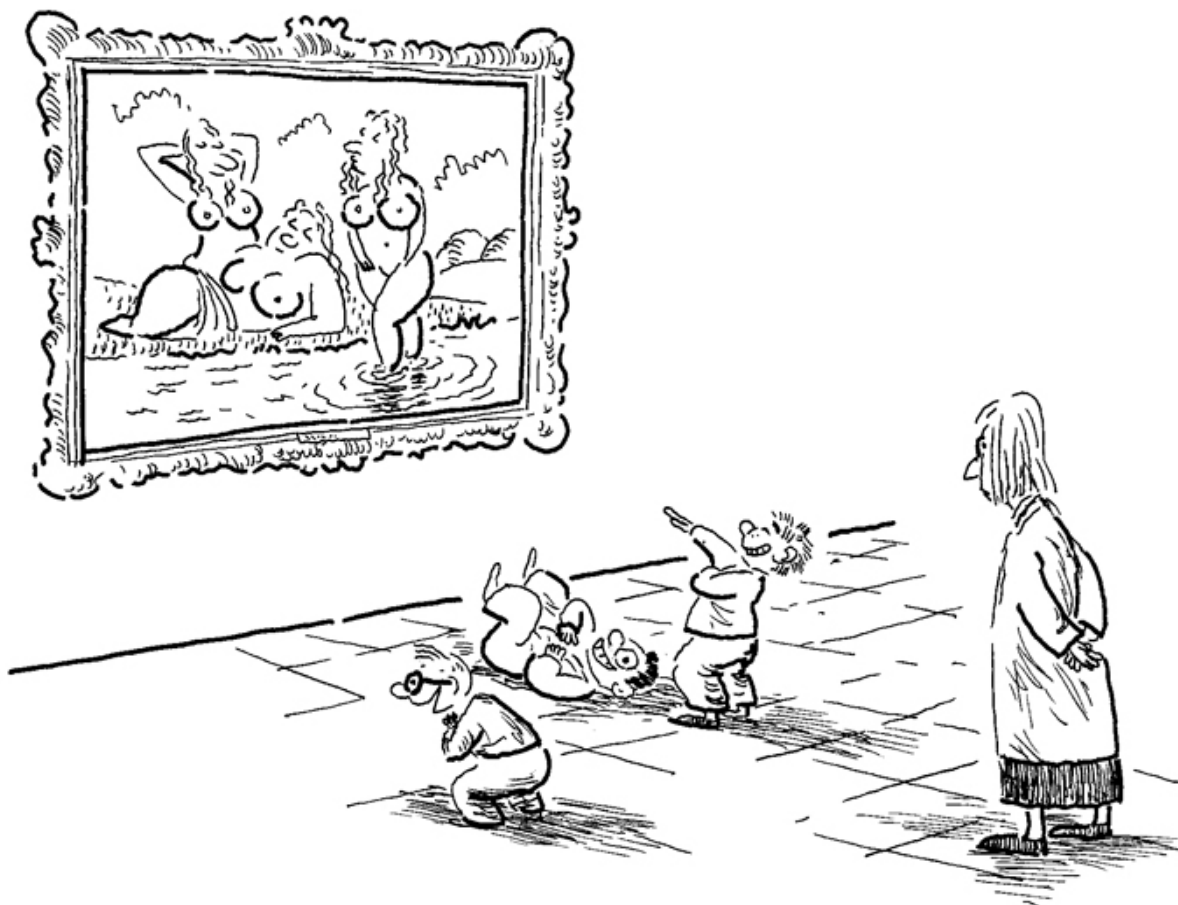
Mama zapakowała mi na wycieczkę do muzeum Prado bułkę z pasztetem i kotlet mielony, a na deser rogalik z czekoladą. Jak to wszystko wyciągnąłem w autokarze, Kamil powiedział, że jestem obżartuchem i że wyglądam, jakbym zamiast do muzeum

Prado jechał na piknik do Miraflores de la Sierra. Tak się tym wkurzyłem, że zapytałem: „Chcesz?”. No i zjadł mi pół bułki, ale już mnie więcej nie nazywał obzartuchem. Jakby mama się dowiedziała, zabiłaby mnie; ona mówi, że wszystkie dzieci, jakie tylko są na świecie, zawsze mi zjadają drugie śniadanie.

No więc bawiliśmy się w najlepsze, Uszatek dwa razy wymiotował, a my śpiewaliśmy „Gdy strumyk płynie z wolna, rozsiewa zioła maj”. W końcu przyjechaliśmy na miejsce. Nasza pani zapowiedziała, że ten, kto się będzie źle zachowywał, już nigdy w życiu nie pojedzie na żadną wycieczkę, chyba że do więzienia Carabanchel, gdzie jest jego miejsce. Pani chciała nam pokazać obraz Velázquez’a „Rodzina Filipa IV”, bo nasza szkoła nosi imię Diego Velázquez’a.

Niestety nie zobaczyłem tego obrazu, bo po drodze zatrzymaliśmy się przed innym, na którym stały trzy facetki. Twarze miały niczego sobie, za to tyłki, jak mówi mama, dość puszyste. Więc staliśmy przed tym obrazem, Uszatek, Kamil i ja, jak zamurowani; w tym muzeum wystarczy zobaczyć jeden obraz i już się ma pojęcie o wszystkich innych, bo prawdę mówiąc, są do siebie dość podobne.

Trzy puszyste damulki były gołe i miały takie niesamowite nogi, że jakby cię któraś kopnęła, nie pozbierałbyś się razem z całą drużyną do końca życia.



Nagle Uszatek przeczytał tytuł i okazało się, że ten niesamowity obraz nazywa się „Trzy gracje”. Kamil zaczął się tarzać po podłodze ze śmiechu, więc Uszatek i ja poszliśmy za jego przykładem, bo nie chcieliśmy być gorsi. Kamil wyciągnął z kieszeni kurtki flamaster, żeby napisać na obrazie „Trzy grubasy”, i wtedy przybiegł strażnik muzeum i zapytał, gdzie jest nasza wychowawczyni, i zaciągnął nas, prawie w kajdankach, do naszej pani, która oglądała z całą klasą obraz przedstawiający rodzinę gapiącą się prosto przed siebie, jak my na wideo z chrztu Głupka.

Mnie się trzęsły ze strachu nawet szkła w okularach, ale w tym momencie zaszło coś, co całkowicie zmieniło bieg naszego życia.

Kiedy pani opowiadała o obrazie, zobaczyłem, że przysuwa się do niej jakiś facet. Ten facet... ten facet... to był ten sam, który chciał okraść dziadka i mnie!

Zanim strażnik muzeum zdążył nas bezlitośnie wsypać, rzuciłem się w ramiona naszej pani – nigdy nie przypuszczałem, że upadnę tak nisko – i szepnąłem:

– P-sze pani, sławny złodziej z Kruczej Góry, który nie tylko nie ma AIDS, ale w dodatku jest synem Jolanty zwanej Wariatką, próbuje pani zabrać torebkę!

Nasza pani poskarżyła się strażnikowi, że muzeum słabo dba o bezpieczeństwo zwiedzających, a mnie wyciął i powiedziała, że mogę jechać w autokarze na przednim siedzeniu razem z nią jako honorowy pasażer albo nieznany żołnierz, już dobrze nie pamiętam.

Przed wyjściem z muzeum poszliśmy wszyscy do toalety, żeby się wysiusiać (zawsze tak robimy, kiedy gdzieś jedziemy), i tam był ten złodziej. Złapał mnie za ramię i warknął:

– Słuchaj, Okularnik! – Nie mam pojęcia, skąd znał moje przezwisko. – Przyjechałem z Kruczej Góry do Madrytu, bo w tym mieście nikt mnie nie zna, a ty mi codziennie partolisz robotę.

Wyjaśniłem mu, że nie zrobiłem tego naumyślnie, że oskarżyłem go, żeby samemu nie zostać oskarżonym. A żeby mnie puścił, żeby przestał mnie szczypać w ramię, powiedziałem mu o takim miejscu, gdzie będzie mógł spokojnie napadać na ludzi i wyciągać swój nóż z Kruczej Góry bez obawy, że znów wyrosnę tam, gdzie mnie nie posiali.

Pani wychowawczyni po raz pierwszy w dziejach nie skrzyczała mnie, że przyszedłem ostatni do autokaru; czekała na mnie na

przednim siedzeniu. A ja usiadłem – na oczach wszystkich kolegów – obok niej, w nowej roli ulubieńca naszej pani.

Byłem bardzo zadowolony tylko przez trzy i pół minuty, bo potem zacząłem się nudzić jak mops. Słyszałem, jak Kamil ochrypnął od śpiewania „Na zielonej łące, raz, dwa, trzy, skakały Uszatki, raz, dwa, trzy!”, i pękałem z zazdrości.

Nasza pani skorzystała z okazji i pokazała mi wszystkie zabytki Madrytu, jakie mijaliśmy po drodze, a było ich do licha i trochę.

Pani była bardzo zadowolona, że ma nowego ulubieńca, a mnie dręczyła myśl, że popełniłem dość oryginalny grzech, z którego nigdy nie będę mógł się wypowiadać, bo nie chodzę na religię i nie znam żadnego księdza.

Miejsce, które wskazałem złodziejowi z Kruczej Góry, żeby tam napadał na ludzi, było podwórko przed domem naszej pani.

Od tej pory przyglądam się jej co rano, żeby sprawdzić, czy nie wygląda na osobę, która została napadnięta.

Dziadek mówi, żebym się nie martwił, bo złodzieje z jego wsi nigdy nie wstają przed jedenastą rano, a o tej porze pani wychowawczyni jest już w szkole i wyżywa się na nas. To mnie trochę uspokoiło, bo muszę ci się przyznać, że ja troszeczkę, odrobinę lubię naszą panią.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Stworzeni dla siebie



Opowiem ci od początku do końca pewną historię miłosną. Któregoś razu dziadek przyszedł po mnie na karate, bo tata mówi, że łażę jak Chińczyk i trzeba mnie tego oduczyć, bo on nie może patrzeć, jak ja łażę cały dzień jak ostatnia łamaga.

No więc dziadek przyszedł po mnie na karate i mówi:

– A gdzie jest twój wielki przyjaciel Uszatek?

– Mój wielki przyjaciel? Moja wielka świnia! – sprostowałem z błyskiem nienawiści w oku.

Opowiedziałem mu, że kiedy ja ćwiczyłem karate, żeby przestać łązić jak ten Chińczyk, którym nigdy nie byłem, on zaprosił do siebie Zuzię na diabła tasmańskiego. A Uszatek dobrze wie, że chodzę z Zuzią od pierwszego dnia nowego roku szkolnego, bo w zeszłym roku było tak, że zanim poprosiłem jakąś dziewczynę o chodzenie, wszyscy już to zrobili przede mną i została wolna tylko gruba Aśka. Więc byliśmy dwa dni narzeczonymi. Pierwszego dnia, chcąc nawiązać interesującą rozmowę, zapytałem ją:

– Dlaczego jesteś taka gruba?

– Bo chcę zostać śpiewaczką operową, jak będę duża – odpowiedziała.

Nie darowała mi tego. Na drugi dzień postanowiła się odegrać.

– A ty dlaczego nosisz okulary, Okularnik?

– Żeby mi je rozwałął ten łobuz Kamil, który jest moim kolegą.

Więcej ze sobą nie rozmawialiśmy. W tym roku gruba Aśka już nie jest gruba i poprosił ją o chodzenie jeden chłopak, który mówi, że jest przystojniejszy ode mnie. Mówi, że jest przystojniejszy, bo nie nosi okularów, ale dziadek twierdzi, że kobiety wolą facetów w okularach, bo oni mają na ogół więcej pieniędzy. Więc zobaczymy, co ten przystojniaczek powie za pięćdziesiąt pięć lat.

No więc, jak ci powiedziałem godzinę temu, Zuzia–w–Brudnych–Majtkach poszła do Uszatka na diabła tasmańskiego. Zwierzyłem się dziadkowi, że Zuzia niczego nie potrafi uszanować: niby ze mną chodzi, a pójdzie do każdego, kto jej coś obieca. W rezultacie ma czterdzieści tysięcy narzeczonych, a ja tylko ją jedną, i w dodatku na słowo honoru. Wtedy dziadek wyjaśnił mi, że nie wystarczy poprosić dziewczynę o chodzenie, trzeba jeszcze

powiedzieć jej coś miłego; zabrać ją do parku Wisielca i tam jej oznajmić: „Podobasz mi się rano, po południu i wieczorem”. Zrobić to raz, a potem drugi i trzeci, i tak przez całą wieczność, tu na Ziemi i w przestrzeni międzygwiazdnej. Dziadek mówi, że wszyscy ludzie na świecie kiedyś coś takiego powiedzieli. Ja nie byłem tego pewien, ale mama mi powtarza: „Lepiej się nie wyróżniać; dlaczego ty zawsze musisz zwracać na siebie uwagę?”.

Wobec tego na drugi dzień zaproponowałem Zuzi, żebyśmy poszli po szkole do parku Wisielca, bo muszę jej powiedzieć coś ważnego. Zuzia na to, że zaraz się zaczyna diabeł tasmański i że ona za nic w świecie nie zrezygnuje z diabła tasmańskiego, i żebyśmy porozmawiali tutaj, bo ona nie pójdzie do parku Wisielca, bo któregoś dnia znalazła na ziemi strzykawkę i zaniósła ją mamie na pamiątkę, a mama wpadła w złość i krzyczała: „Jutro nigdzie nie pójdziesz, ani jutro, ani nigdy”. Więc ona od tej pory chodzi tylko do kolegów na podwieczorek i na diabła tasmańskiego, bo w domach nikt nie rzuca na podłogę strzykawek, chyba że tata jakiegoś chłopca interesuje się tymi sprawami.

Zaprosiłem ją do domu. Tym lepiej dla mnie, bo w parku Wisielca nie ma kaloryferów, a u nas są. Mama położyła nam na podłodze poduszki, żebyśmy nie zabrudzili kanapy, którą pokryła pięć lat temu nowym materiałem. Bo poprzedniego dnia powiedziałem mamie:

– Jutro przyjdzie na podwieczorek Zuzia–w–Brudnych–Majtkach.

Mama się obruszyła i stwierdziła, że to jest najgorsze, co można powiedzieć o dziewczynie, i że najlepsze, co można zrobić z jej

majtkami, to nie zwracać na nie uwagi, i spokój. Ale jak przyszła Zuzia i podniosła sukienkę, żeby usiąść na kanapie, bo ona zawsze podnosi sukienkę, jeżeli chce gdziekolwiek usiąść, mama pierwsza spojrzała na jej majtki. I postanowiła położyć nam poduszki na podłodze. Potem zawołała mnie do kuchni, żeby dać mi kakao, i zapytała cichutko:

– O co chodzi, czy mama jej nie daje co dzień czystej bielizny?



A ja musiałem jej tłumaczyć, że owszem, ale sprawa majtek Zuzi nadaje się do programu „Niezgłębione tajemnice”. Jej mama, która przyszła porozmawiać z naszą panią, powiedziała, że majtki Zuzi są zawsze ubrudzone ziemią, nawet jeśli ma na sobie dres, i że do Hiszpanii powinni przyjechać uczeni z całego świata, żeby stwierdzić, dlaczego majtki, które rano wychodzą z domu białe i w dodatku w dresie, wracają na obiad czarne. Dlaczego tak się dzieje? Nikt nie potrafi tego wyjaśnić, jest to jedna z wielkich zagadek naszej planety. Tłumaczyłem to wszystko mamie, a ona nagle mówi:

– No dobrze, Mateuszk, skończmy już z tymi majtkami, bo jak zaczniesz gadać, to nie możesz przestać. Idź do koleżanki.

Mama już taka jest: chciałaby, żebym odpowiadał na jej pytania „tak” lub „nie”, bo wtedy mogłaby odwrócić się na pięcie i iść gadać przez telefon z przyjaciółką. Dlatego woli Głupka, bo Głupek należy do tych, co to siedzą cicho jak mysz pod miotłą. Mama lubi takie dzieci i dlatego wyszła za mąż za mojego tatę, bo tata odzywa się tylko trzy razy do roku: w noc sylwestrową, w swoje urodziny i jak wygra Real Madryt.

No więc wróciłem do Zuzi, która stwierdziła, że telewizor Uszatka jest fajniejszy od mojego, bo ma ileś tam cali więcej, i że ona pije kakao tylko z płatkami czekoladowymi, więc poprosiłem dziadka, żeby poszedł do sklepu po płatki czekoladowe. Powiedziałem, że jeśli wyświadczy mi tę przysługę, będę mu wdzięczny nawet po jego śmierci. Dziadek schodził po schodach, mrucząc:

– Oj, ta Zuzanka rozstawia nas wszystkich po kątach.

Jak się skończył ten przeklęty diabeł tasmański, nadeszła pora słynnego oświadczenia.

– Więc... chciałem ci powiedzieć, że... bardzo mi się podoba twoja opaska do włosów.

Na nic więcej nie mogłem się zdobyć. Zuzia odparła:

– Nie licz na to, że ci ją dam.

To prawda, że mogłem jej powiedzieć coś lepszego, ale ona też nie musiała odpowiadać mi w ten sposób. Zapadło grobowe milczenie. Oglądała przez chwilę reklamy, a potem powiedziała:

– Ciekawe, czy będziesz pedałem.

Tego zupełnie się nie spodziewałem, więc musiałem jej wyjaśnić:

– Coś ty, ona mi się podoba na twojej głowie, a nie na mojej.

Wtedy ona zaczęła się śmiać i powiedziała, że wyobraża mnie sobie w okularach, z tą moją niesforeną grzywką i opaską na włosach. Uparła się, że muszę ją włożyć, a ja, że nie, a ona, że tak. W końcu ustąpiłem.

– Dobrze, włożę ją, ale będziesz moją narzeczoną.

Na to ona:

– Niech ci będzie.

Szalała, żebym włożył jej opaskę. Więc włożyłem, bo ja zawsze w końcu robię to, co mi każą. Myślę, że nikt nigdy nie śmiał się z nikogo tak bardzo jak Zuzia ze mnie tamtego popołudnia: pokazywała mnie palcem i dosłownie skręcała się ze śmiechu. Głupkowi się to udzieliło, bo on zawsze jest po stronie tego, kto się bardziej śmieje. Mama przyszła zobaczyć, co to za harmider. Jak mnie zobaczyła w opasce, powiedziała:

– Ale z ciebie pajac, Mateuszu.

Tego tylko brakowało! Po półtorej godziny ta wstrętna dziewczucha przestała się wreszcie śmiać. Wtedy jęknęła, że się nudzi i że jest na to tylko jedna rada: musimy się poprzebierać i zrobić sobie makijaż. Więc zwinąłem mamie po cichu parę nocnych koszul i torebkę z kosmetykami. Zuzia powiedziała, że jest żoną Aladyna, a mnie kazała chodzić w samych majtkach i w chusteczce na głowie: mówiła, że jestem dżinnem Aladyna. Pocierała lampę, którą był wazon mamy z niebieskiego i czerwonego kryształu, i wypowiadała jedno życzenie za drugim:

– Teraz przynieś mi Głupka, który jest moim synem i został porwany. Teraz zabij złoczyńcę, który chce wtargnąć do mojego pałacu. Teraz dosyp mi płatków czekoladowych, teraz chcę szklanek wody...

Znęcała się nade mną, a ja biegałem spocony z jednego pokoju do drugiego; w porównaniu ze mną dzinn Aladyna żył jak hrabia. W pewnym momencie potarła cudowną lampę i niebiesko-czerwony wazon mamy wyładował na podłodze. Pomyślałem to samo, co zawsze mówi mama, jak coś stłuczemy: „To było do przewidzenia”.

Na całe szczęście byliśmy sami, bo inaczej mama dałaby mi kuksańca przy Zuzi. Jak mamie przyjdzie ochota dać mi kuksańca, jest gotowa to zrobić nawet na oczach milionów widzów. Co jej tam!

Patrzyliśmy, jak dziadek zbiera kawałki wazonu. Zuzia powiedziała:

– Jeżeli chcesz być moim narzeczonym, nie wygadaj przypadkiem mamie, że to ja go stłukłam.

Następnie Zuzia wsadziła sobie do kieszeni garść płatków czekoladowych i poszła, gdzie ją oczy poniosły.

Musieliśmy posadzić Głupka na nowej kanapie, żeby się nie skaleczył, ale udało mu się znaleźć na podłodze kawałek szkła, którym natychmiast rozciął sobie palec. Musiałem się nim zająć, bo dziadek jest chory na prostatę i robi mu się niedobrze, jak widzi krew. Głupek dalej płakał, więc musiałem mu dać krem do golenia taty, żeby przestał. Jak dostanie coś, co się pieni, od razu jest spokojny.

Zaraz potem przyszła mama, która nie pracuje w CIA, bo w CIA nie wiedzą o jej istnieniu, ale przysięgam ci, że moja mama jest sto razy lepsza od Jamesa Bonda i wszystkich jego wrogów. Wchodzi do pokoju i coś jej trzeszczy pod nogami. Patrzy na stół i już wie, że stłukliśmy wazon. Patrzy na kanapę i już wie, że siedział na niej Głupek w ortopedycznych butach. Czuje w powietrzu zapach pianki do golenia taty i już wie, że Głupek ją zużył. Patrzy na dziadka i już wie, że jest wykończony. A potem patrzy na mnie, widzi, że chowam głowę w kołnierz bluzy, i już wie, że spodziewam się najgorszego... Nabrała powietrza, żeby zacząć przemówienie, ale dziadek jej przerwał:

– Nie gniewaj się na Mateuszka, bo to ja stłukłem wazon. Ja dałem małemu piankę do golenia i posadziłem go na kanapie.

Mama zaczęła krzyczeć na dziadka, a dziadek skorzystał z okazji i poszedł do baru na kawę z krewetkami; zawsze tam idzie, jak sytuacja robi się nieciekawa.

Wieczorem przyszedłem do dziadka do łóżka, żeby rozgrzać mu nogi. Zwykle daje mi za to dwadzieścia pięć peset do skarbonki, ale tego wieczoru powiedziałem, że zrobię to za darmo, bo uratował mnie od krzesła elektrycznego.

Dziadek mnie ostrzegł, że jak nie zmienię narzeczonej, będę pierwszym dzieckiem na tym bożym świecie, które dostanie zawału.

Na drugi dzień, na przerwie, Zuzia kazała mi podstawić nogę jednemu chłopakowi z czwartej klasy, przynieść trochę ziemi, żeby mogła zbudować zamek, i bawić się w czarnego luda z jej trzema koleżankami.

Ten, kto jest czarnym ludem, musi łapać pozostałe dzieci i nikt się nie może do niego zbliżyć ani go dotknąć; jest wyklęty. Zuzia kazała mi być czarnym ludem przez całą przerwę. Pomyślałem sobie wtedy: „Wpadłem!”. Po raz pierwszy chciałem, żeby przerwa jak najszybciej się skończyła. To była najobrzydliwsza przerwa w moim życiu na kuli ziemskiej.

Kiedy szliśmy do klasy, powiedziałem do Uszatka:

– Dziś po południu możesz zaprosić Zuzię na diabła tasmańskiego, ja mam karate.

Mój kolega Uszatek nie jest oczywiście zbyt bystrym obserwatorem. Nie wiem, jak to możliwe, ale ten szlachetny gest z mojej strony ani trochę go nie zdziwił.

Na karate było fantastycznie. Nauczyciel kazał mi przyłożyć jednemu osiłkowi z piątej B. W pierwszej chwili pomyślałem, że zwariował albo chce się mnie raz na zawsze pozbyć. Wytłumaczył mi, jak mam to zrobić. Ja zawsze rozumiem, o co mu chodzi, nawet wyobrażam to sobie. Wyobrażam sobie, że robię salto typu Karate Kid w kanionie Kolorado, ale jak przychodzi co do czego, wszystko knocę, nie mam pojęcia dlaczego. Dziadek mówi: „Takie jest życie”.

Pewnie mi nie uwierzysz, ale przyłożyłem temu osiłkowi z piątej B. To było trochę tak, jakbym kopnął górę: facet nie ruszył się z miejsca, ale mu przyłożyłem. Gorzej, że spadły mi przy tym okulary, mimo że mama przymocowała je do mojej głowy gumką. Na karate było fantastycznie, ale jeszcze bardziej się ucieszyłem, kiedy mama powiedziała, że ma w nosie to, że chodzę jak Chińczyk, i że nie pójdę więcej na karate, bo ona nie ma zamiaru płacić w tym roku za następne okulary.

To jest najlepsza wiadomość w tym sezonie; już mi się znudziły walki ze wszystkimi skałami w szkole.

Na drugi dzień oznajmiłem Uszatkowi, że już nigdy nie pójde na karate, chyba że Hiszpania zostanie zaatakowana przez Japończyków, a on na to:

– Ekstra, w takim razie możesz codziennie zapraszać Zuzię. Wczoraj rozwalila u mnie pilota od telewizora. Ona była żoną Aladyna, a ja jej dzinnem, ale uznała pocieranie lampy za przestarzałe i oświadczyła, że będzie mi dawać rozkazy za pomocą pilota. Po dwóch godzinach powiedziałem jej, że mam już dość spełniania jej zachcianek, i pilot wylądował na mojej głowie. Mama zapytała, czy nie mógłbym znaleźć sobie takiej narzeczonej, która by się przyzwocio zachowywała.

– To ty też byłeś jej narzeczonym?

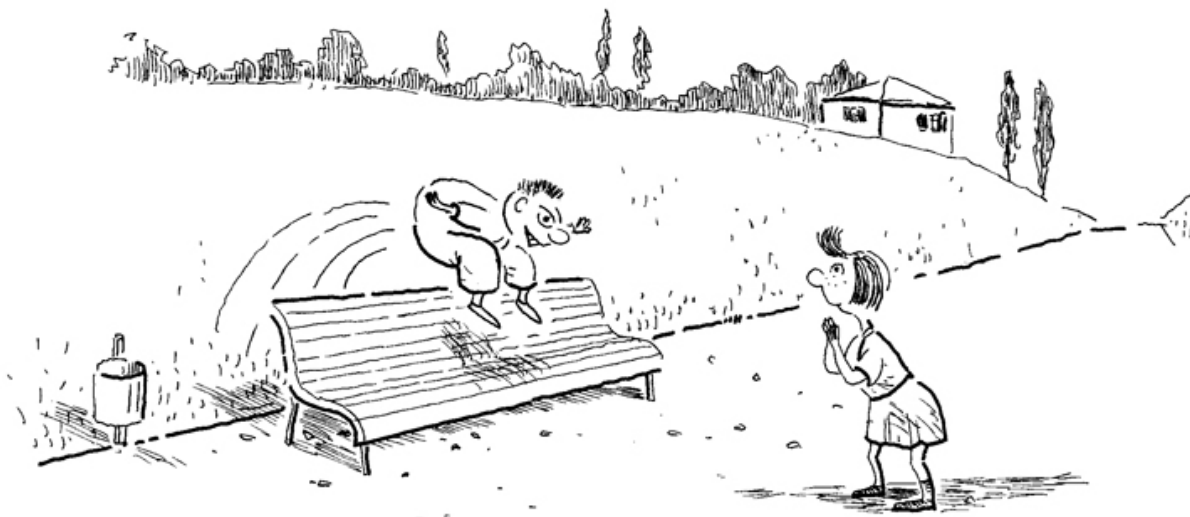
Zaczęliśmy dyskutować, kto kogo zdradził, ale tylko przez półtorej minuty; potem doszliśmy do wniosku, że to nie ma najmniejszego sensu, bo Zuzia ma więcej narzeczonych, niż jest chłopaków w naszej szkole. Ma narzeczonych w szkole naprzeciwno, w swoim bloku i w Pikutkowie, skąd pochodzi jej mama. Prawie wszystkie chłopaki w Hiszpanii są narzeczonymi Zuzi.

Uszatek i ja rozmawialiśmy o tym, wracając do domu. Byliśmy dwoma kumplami mającymi ten sam problem, jak w filmach, które kończą się tak, że dwaj kumple odchodzą razem w mgłę i przenikliwy ziąb. Wszystko układało się jak najlepiej i nie wiem, dlaczego tak się stało, że znów zaczęliśmy się kłócić, który z nas powinien oglądać z Zuzią po południu diabła tasmańskiego.

Sprawa była jasna: żaden z nas nie chciał zapraszać Zuzi, ale nie chciał również, żeby spędzała popołudnia z jego najlepszym kolegą. To było straszne! Mój dziadek mawia w takich wypadkach: „Człowiek jest dziwnym stworzeniem”.

O mały włos nie pobiliśmy się o coś, na czym żadnemu z nas nie zależało, gdy nagle, zupełnie niespodziewanie, zobaczyliśmy Zuzię z jakimś chłopakiem, jak skakali przez ławkę w parku Wisielca. Podeszliśmy bliżej. Tym chłopakiem był... Kamil!

Przyglądaliśmy się im dłuższą chwilę. Bawili się w najlepsze: kopali plecaki, popychali się, żeby zdobyć najlepszą huśtawkę, zeskakiwali na ziemię z bardzo wysoka. Kamil zabrał Zuzi opaskę i zwiął. Zuzia złapała go za włosy i napluła na niego. Na Kamila! Największego łobuziaka w klasie, na osiedlu i w całej Hiszpanii! Nikt nie odważył się nigdy napluć na Kamila, bo to by go mogło drogo kosztować.



Wstrzymaliśmy z Uszatkiem oddech. Bicie naszych serc przypominało dźwięk afrykańskich bębnów zapowiadających straszną wojnę. Co się teraz stanie?

Nikt nigdy nie uwierzy w to, co nastąpiło później; ty też nie uwierzysz, ale tak było. Przysięgam ci na mojego dziadka. Kamil wytarł twarz. Uszatek powiedział bardzo cicho, drżącym głosem:

– Zobaczysz, jaki wycisk jej da. Zostanie z niej mokry placek.

Ale i on, i ja, i cały świat się pomylił, bo Kamil odparł:

– Ojej, nie gniewaj się, ja tak dla zabawy. To był żart, a ty od razu na mnie plujesz.

Po czym bawili się dalej, popychając się i skacząc jak zwariowani. Odwróciliśmy się z Uszatkiem na pięcie i poszliśmy sobie; po pierwsze, nie mieliśmy tam nic do roboty, a po drugie, baliśmy się, że nas poproszą, żebyśmy się do nich przyłączyli.

Teraz to już naprawdę było głupotą sprzeczać się o Zuzię. Nie powiedzieliśmy tego głośno, ale obaj tak uważaliśmy, a poza tym uważaliśmy obaj, że to się świetnie składa, że ona woli Kamila.

Tego popołudnia zaproponowałem Uszatkowi, żeby obejrzał diabła tasmańskiego u mnie. Było fantastycznie: jedliśmy chleb z masłem i z nutellą i oglądaliśmy kreskówki, leżąc na kanapie. Obaj mieliśmy głowę z tej samej strony, bo Uszatkowi śmierdzą nogi. Daleko mu, biedakowi, do doskonałości. Dziadek spojrzał na nas i powiedział do mamy:

– Oni są dla siebie stworzeni.

Przez chwilę nie byłem pewien, czy ma na myśli Uszatka i mnie, czy Zuzię i Kamila, którzy być może jeszcze się bawili, sypiąc sobie w oczy ziemią w parku Wisielca. Oni też są dla siebie stworzeni. Pewnie na tym polega miłość.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Kuba Martínez jest z innej planety



W niedzielę będę miał szlaban i w sobotę też. Mama zamknie mnie bez litości w czterech ścianach naszego mieszkania. Będę

miał gorzej niż goryl w zoo, bo goryl widzi przynajmniej ludzi, którzy się na niego gapią, jakby był małpą, a mnie nikt nie przychodzi oglądać. Muszę zadowolić się towarzystwem tych, którzy siedzą ze mną w jednej klatce: dziadka i Głupka.

Kiedy mam szlaban, jestem zupełnie do niczego, jak chleb, który leży od dwóch dni w szafce i nadaje się tylko dla dziadka. Poza tym boli mnie brzuch, bo się nudzę, a jak się nudzę, chodzę przez całe popołudnie od barku do kanapy.

Mama kupiła tacie barek, bo tata często mówił:

– Dzisiaj jest barowa pogoda. – Po czym szedł do najbliższego baru.

Więc mama, która na wszystko znajdzie radę, podarowała mu na Dzień Ojca barek. Otwiera się go, a w środku jest pełno luster i jeśli stoją tam trzy butelki, przez chwilę wydaje się, że jest ich szesnaście. To jest to, co uczeni z całego świata nazywają zjawiskiem zwielokrotnienia. Mama powiedziała do taty po odpakowaniu prezentu:

– Czy dzisiaj jest barowa pogoda? Jeżeli tak, to nie musisz iść do baru, bo masz go w domu.

Z początku barek był świętością i mama trzymała w nim tylko koniak taty, anyżówkę dziadka i butelkę wina, która została z Bożego Narodzenia. Ale ponieważ u nas w domu jest ciasno, barek przemienił się ze świętości w supermarket.

– U nas nie ma karaluchów – mówi mama do pani Lusi. – Mogłyby sobie nawet być, ale się nie mieszczą.

Tak mówi mama, która też czasami żartuje, nie myśl sobie, że zawsze jest naburmuszona.

Więc mama najpierw wsadziła do tego świętego mebla chipsy, solone orzeszki i tym podobne rzeczy, którymi częstuje gości i które zjadamy z Głupkiem w pięćdziesiąt tysięcznych sekundy. Potem przyszła kolej na nutellę, płatki czekoladowe i inne świństwa (według mamy), które jemy na podwieczorek. Miesiąc temu zaczęła tam przechowywać to, czym czyści łazienkę. Chodzi jej o to, żeby Głupek się tego nie najadł, bo jednym z jego przysmaków jest ajax: już go próbował dwa razy, dureń jeden.

Jak mam szlaban, to co chwila podchodzę do barku: biorę garść chipsów, potem trochę płatków czekoladowych albo orzeszków. Więc jak mam szlaban dłużej niż jeden dzień, robi mi się klasyczny korek w jelicie grubym i mama mówi do lekarza:

– Ten dzieciak doprowadza do tego, że nie jest w stanie pozbyć się pożywienia ani górą, ani dołem.

Kiedy mama mówi „górá”, chodzi jej zawsze o usta, a jak mówi „dołem” – o tyłek. Mama zaczyna opowiadać lekarzowi o moim tyłku, jakby to była sprawa, która mogłaby go choć trochę interesować. Jak mama mówi „dołem”, natychmiast mam ochotę schować się w mysią dziurę; myślę, że lekarzowi też jest głupio. Nic dziwnego: gdybym ja był lekarzem i badał dziecko, które mnie ani ziębi, ani grzeje, nie byłbym zachwycony, gdyby jego mama zaczęła mi opowiadać o tyłku tego dzieciaka.

Tak czy owak, czasami udaje mi się nie przejeść. Ale zapewniam cię, że jak mam szlaban, robi się ze mnie najbardziej rozlazły facet, jaki istnieje na naszym osiedlu i na tym bożym świecie.

Opowiem ci od samego początku straszliwą historię mojego ostatniego szlabanu.

Był sobie kiedyś fenomenalny chłopak, który mieszkał na osiedlu Carabanchel, równy gość i nawet niegłupi; nikt się nie mógł z nim równać, a nazywał się Mateuszek Okularnik. Jak się zapewne domyśliłeś, tym fantastycznym chłopakiem byłem ja. Otóż ten kapitalny facet budzi się któregoś pechowego poniedziałku – a było to w zeszłym tygodniu – i myśli: „Mam dziś klasówkę ze środowiska i jestem kompletnie zielony”. Chłopak – znaczy się ja – woła mamę i mówi:

– Kochana mamusiu, wydaje mi się, że chwilami mam gorączkę.

Mama tego chłopaka, czyli moja, położyła mi rękę na czole i powiedziała z okrutną obojętnością:

– Mateuszkule, ubieraj się, bo się spóźnisz.

– A co będzie, jak podskoczy mi w szkole do trzydziestu ośmiu stopni? Nie sądzisz, że lepiej zapobiegać, niż leczyć? – zapytałem, bo wciąż nie tracę nadziei, że uda mi się kiedyś oszukać mamę.

– Już ja się postaram, żeby ci podskoczyła, jak zaraz nie wstaniesz.

Nie było rady. Kiedy mama tak mówi, widzę, że ani trochę nie jest podobna do mam z piosenek i wierszy: tamte mamy mieszkają chyba w Ameryce, w dwupiętrowych willach.

Poszedłem do szkoły i usiadłem w ławce, jakbym siadał na krześle elektrycznym. Zapowiedziałem Uszatkowi, który siedzi przede mną i jest moim najlepszym kolegą, chociaż czasami bywa zdradziecką świnią:

– Będę od ciebie ściągał, bo J.K.Z.

Mówimy J.K.Z. Pewnego dnia ktoś z nas powiedział „Jestem kompletnie zielony” i usłyszała to pani wychowawczyni;

zrozumieliśmy wtedy, że w szkole lepiej tego głośno nie mówić.
A Uszatek na to:

– W takim razie musimy ściągnąć od kogoś, kto siedzi przed nami, bo ja też J.K.Z.

Prawdę mówiąc, ściągnięcie od Uszatka nie ma najmniejszego sensu, bo on pisze na klasówkach tylko to, co ściągnie ode mnie.

Zanim weszła pani, zrobiliśmy wywiad i okazało się, że ani ci z przodu, ani ci z tyłu, ani ci z sufitu nic nie umieją. Tego ranka cały boży świat był K.Z. Nasza ostatnia deska ratunku nazywała się Kuba Martínez.

Kuba Martínez był nowy. Nie przyszedł pierwszego dnia po wakacjach, tylko miesiąc później. Pani zapowiedziała:

– Jutro przyjdzie nowy chłopiec. Nazywa się Kuba Martínez i nie ma taty, ale nie zadawajcie mu na ten temat żadnych pytań.

Słowa pani wywarły na nas wielkie wrażenie. Myśleliśmy o tym przez pół minuty, a potem Kamil odważył się zapytać:

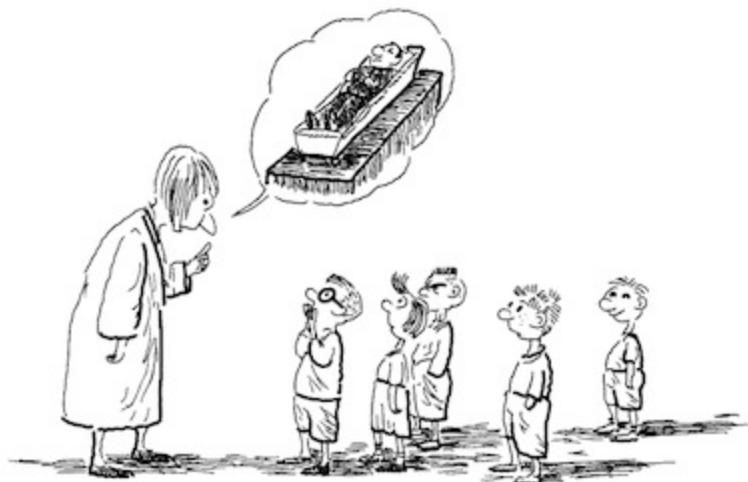
– A dlaczego nie ma taty?

– Bo umarł.

– Dawno? – zapytał Diego Maradona. (Przezwaliliśmy go tak, bo kiedy usłyszeliśmy jego imię, od razu nam się skojarzyło z nazwiskiem sławnego piłkarza).

– Dwa miesiące temu.

– Dwa miesiące temu! – wykrzyknęliśmy chórem, jakbyśmy to ćwiczyli od dwudziestu siedmiu dni.



– A dlaczego umarł? Czy był bardzo stary? – dopytywał się Artur Ramon, o którym nasza pani mówi, że zawsze ma głowę w chmurach.

– Jak mógł być bardzo stary, jeżeli był tatą Kuby Martíneza? – zdziwiła się Zuzia.

– To ty znasz Kubę Martíneza? – zapytał Kamil, który czasami gada głupoty.

– Nie widziałam go na oczy – obruszyła się Zuzia.

– Pewnie umarł na nieuleczalną chorobę – powiedziałem, bo ja zawsze wyobrażam sobie najgorsze.

– Umarł na atak serca. – Nasza pani nie miała ochoty udzielać dokładnych wyjaśnień.

– I był sam, jak dostał ataku serca? – zapytał Uszatek, który chce wiedzieć wszystko dokładnie.

– Nie wiem, zaczynamy lekcję.

– Jeden kolega mojego taty dostał ataku serca, wzięli go do szpitala nieżywego i w szpitalu uratowali go jakimiś elektrodami sprowadzonymi ze Stanów Zjednoczonych – powiedziałem, bo to najprawdziwsza prawda.

– Może te elektrody się zużyły, jak ratowali kolegę twojego taty, i nie zdążyli pojechać do Stanów Zjednoczonych po następne, żeby uratować tatę Kubby Martíneza – rzucił ktoś z ostatniej ławki.

– Ten kolega taty Mateuszka to niezły cwaniak – odezwała się gruba Aśka, która już nie jest gruba.

– Twój tata też jest niezły cwaniak! – wrzasnąłem.

Wtedy jedni zaczęli mówić, że kolega mojego taty jest straszny cwaniak, a inni nas bronili: kolegę mojego taty, mojego tatę i mnie.

Nasza pani walnęła pięścią w stół, a my dalej krzyczeliśmy. Po trzecim walnięciu ucichliśmy. Zawsze tak jest, z matematyczną dokładnością.

– W porządku. Chcę tylko, żebyście byli dla niego mili i żeby nikt go nie pytał o tatę.

– Dlaczego? – zapytał Artur Ramon.

Nasza pani wyrzuciła go z klasy i już nikt więcej nie pytał o Kubę Martíneza. Ciężko z nami wytrzymać, ale nie jesteśmy głupi.

Na drugi dzień przyszedł do szkoły Kuba Martínez. Nasza pani posadziła go w pierwszej ławce. Gapiliśmy się na niego przez trzy dni i myśleliśmy o nim przez trzy noce. Czwartego dnia Kuba Martínez pokazał nam na przerwie plakietkę z godłem klubu piłkarskiego Rayo Vallecano i powiedział:

– Nazywam się Jakub i jestem kibicem Rayo Vallecano, jak mój tata.

– Twój tata nie żyje? – zadałem niechący pytanie, które mieliśmy wszyscy na końcu języka, mimo że było zabronione.

– Tak, i dawniej mieszkaliśmy w Vallecas, ale jak tata umarł, mama postanowiła się przeprowadzić.

Przez całą przerwę wypytywaliśmy Kubę o szczegóły; bądź co bądź był to nasz jedyny kolega, który nie miał taty. Kiedy już poznaliśmy dokładnie jego przeszłość, prawie nikt nie wracał więcej do tego tematu; namawialiśmy tylko Kubę, żeby zostawił Rayo Vallecano i zaczął kibicować Realowi Madryt.

Poza tym Kuba Martínez zasłynął wkrótce z innego powodu niż śmierć jego taty. Okazało się, że Kuba Martínez jest chłopcem na medal. Nasza pani zawsze mówi:

– Kuba Martínez zajdzie wysoko.

Mówiąc to, nie ma na myśli pierwszego lepszego teleturnieju, tylko Nagrodę Nobla albo coś w tym rodzaju.

Kuba Martínez różni się od normalnych dzieci tym, że zawsze jest czysty. Paznokcie Kuby Martíneza mogłyby być pokazywane na wystawie światowej. Na jego zębach nigdy nie ma resztek jedzenia. Zeszyty Kuby Martíneza wyglądają jak książki. Kuba Martínez naprawdę zasługuje na Nagrodę Nobla.

Prawdę mówiąc, takie cudowne dziecko działa na człowieka przygnębiająco. Kiedy Kuba przestał już być nowy i stał się takim samym uczniem jak my wszyscy, mieliśmy nadzieję, że okaże się w czymś słaby, na przykład w gimnastyce. Ale gdzie tam! Kuba Martínez przychodzi na wuef w granatowym dresie i w trampkach z napisem „Rayo Vallecano”, po czym skacze przez koziół, jakby był japońskim mistrzem olimpijskim.

Kuba Martínez nikogo nie przezywa, nie bije się z Kamilem i nie zdarzyło się, żeby kopnął czyjś plecak. Kuba Martínez jest zupełnie inny niż każdy z nas.

Uszatek mówi, że Kuba Martínez jest Marsjaninem, którego istoty z innych planet przysłały do naszej szkoły, żebyśmy przez niego zwariowali z zazdrości. Jak już zwariujemy, pójdzie do następnej szkoły i do następnej, i do następnej. W końcu wszystkie dzieci na tym bożym świecie zostaną unicestwione przez tę przedziwną istotę, która nazywa się Kuba Martínez.

Pewnego dnia przekonaliśmy się w szatni, że Kuba Martínez jest z całą pewnością Marsjaninem. Okazało się, że ma dwa pępki: jeden normalny, jak wszyscy Ziemianie, a obok drugi, mniejszy. Moja teoria jest taka, że Kuba Martínez pochodzi z planety, na której każda kobieta ma syjamską siostrę i dzieci są połączone ze swoimi mamami dwiema pępowinami. Zadaliśmy mu w szatni tysiąc pięćset pytań na temat jego dodatkowego pępka, ale Kuba Martínez pominął je milczeniem. Powiedział tylko:

– Taki się urodziłem.

To jest dowód na to, że Kuba Martínez jest z innej planety.

Czy pamiętasz, jak ci opowiadałem, że pewnego dnia poszedłem do szkoły K.Z. przed klasówką ze środowiska? Opowiadałem ci też, że cały mój rząd był w takiej samej sytuacji jak ja. Więc zapytaliśmy Kubę Martíneza, czy nie ma nic przeciwko temu, żebyśmy wszyscy od niego ściągnęli. Prawdę mówiąc, jeżeli koniecznie musisz od kogoś ściągnąć, jest ci wszystko jedno, czy ten ktoś pochodzi z Ziemi czy z innej planety; w końcu i tak wszyscy kręcimy się wokół Słońca.

Kuba Martínez bardzo się ucieszył, kiedy go poprosiliśmy o tę małą przysługę. Jest to jeszcze jeden dowód na to, że Kuba Martínez jest mieszkańcem innego globu, bo ja pozwalam, żeby

ode mnie ściągnęła co najwyżej jedna osoba, i to za opłatą, a nie cały rząd, nie ma głupich.

Pani podyktowała nam beznadziejne pytanie na temat stanu ciekłego, stałego i gazowego. Wszyscy spojrzeliśmy na nią z nienawiścią; nie życzę takiego pytania najgorszemu wrogowi.

Kuba Martínez zaczął pisać w taki sposób, żeby ten, kto siedzi za nim, mógł od niego ściągnąć, i wszyscy po kolei zrobili to samo, aż do Uszatka i do mnie, bo my siedzimy na końcu.

Byłem bardzo przejęty. W takich chwilach człowiek myśli, że na świecie zapanuje kiedyś pokój, bo istoty ludzkie tworzą jeden wielki łańcuch przyjaźni. Dałem ściągnąć Kamilowi, który siedzi za mną, ale on chodzi własnymi ścieżkami, więc i tym razem powiedział:

– Ja przyniosłem sobie z domu ściągawkę i nie muszę przepisywać od Kuby Martíneza.

I wyjął ściągawkę z nosa. Wkłada je tam zwinięte w maleńki rulonik; raz nawet jego mama musiała go zawieźć na pogotowie, bo ściągawki zaczęły wędrować coraz wyżej i o mało co nie wpakowały mu się do mózgu.

Na drugi dzień czekaliśmy wszyscy na stopnie z klasówki. Wyobrażałem sobie, jak nasza pani mówi: „Mateuszek García Moreno, szóstka z plusem”.

Wyobrażałem sobie, jak wracam do domu z szóstką i mama opowiada pani Lusi: „Mój Mateuszek dostał szóstkę z plusem”.

Stało się jednak inaczej, bo rzeczywistość nigdy się nie pokrywa z moimi wyobrażeniami o niej. Nasza pani weszła do klasy i zamiast rozdawać szóstki, zaczęła rozdawać listy. Nikt nie rozumiał dlaczego. Dziesięcioro dzieci dostało koperty: ja,

Uszatek, Zuzia, Artur Ramon, Aśka, która już nie jest gruba, Kuba Martínez i czworo innych, których nie znasz. W końcu nasza pani stwierdziła:

– Jesteście tacy głupi, że nawet ściągać nie umiecie.

Okazało się, że pani nas przylapała. Kuba Martínez popełnił niewybaczalny błąd: pomylił się i zamiast pisać o stanie płynnym i gazowym, napisał o warstwach atmosfery, no wiesz, o stratosferze i tak dalej.

Pani wychowawczyni powiedziała, że Kuba Martínez się pomylił, a my jesteśmy głupi. Chciała, żeby nasi rodzice się dowiedzieli, że kompletnie nic nie umiemy, nawet ściągać. Po raz pierwszy rozgniewała się na Kubę Martíneza, bo według niej uczeń, który daje ściągać, też jest głupi, a już zupełnie nie mogła mu wybaczyć tego, że taki zdolny chłopiec odpowiedział nie na to pytanie, co trzeba. Akcje Kuby Martíneza poszły w dół, Akademia Szwedzka nie przyzna mu w tym roku Nagrody Nobla.

Najśmieszniejsze było to, że Kamilowi się udało. Życie płata czasami niezbyt miłe figle. Na szczęście dostał tylko tróję; mówił, że gile zamazały niektóre wyrazy. Dobrze mu tak.

Wracaliśmy z Uszatkiem do domu i każdy z nas miał w plecaku list. Zdarza się, że listy ciążą jak kamienie, zwłaszcza kiedy zawierają złe nowiny. Uszatek bał się mniej niż ja, bo jego mama rozwiodła się z jego tatą i czuje się z tego powodu winna wobec Uszatka, więc prawie nigdy nie robi mu wymówek i Uszatek tyle dba o pały, co o zeszłoroczny śnieg.

Za to ja zawsze obrywam, mnie nikt nie powie dobrego słowa ani się nade mną nie zlituje. Już czułem kuksaniec, który miałem dostać od mamy. Bolał mnie jak nie wiem. Dobrze przynajmniej,

że tata wraca późno do domu i jest taki zmęczony, że już nie ma siły na mnie krzyczeć. Dlatego jestem zadowolony, że tata jest kierowcą ciężarówki. Gdyby pracował w biurze, jak tata Zuzi, wracaliby o piątej i miałby dość energii, żeby dać burę całej kompanii wojska. Ale mama robi wszystko, żeby mi to wynagrodzić. Dziadek nazywa ją panią pułkownikową, ale za jej plecami, bo nie ma odwagi powiedzieć jej tego wprost. Nie bez powodu jest panią pułkownikową.

Dogonił nas Kuba Martínez. Był radosny jak skowronek.

– Mnie też pani dała kopertę.

Pokazał ją nam, jakby to był dyplom.

– Wychodzi na to, że tylko ja mam awantury w domu! – Przyspieszyłem kroku, bo ogarnęła mnie wściekłość; nie mogłem patrzeć na kolegów.

Kuba Martínez znów mnie dogonił.

– Mateuszek! Ja też będę miał awanturę.

– Nie wierzę. – Jak mogłem uwierzyć facetowi, który mówi, że będzie miał awanturę, i nic sobie z tego nie robi?

– Przysięgam na mojego tatę.

Jeżeli przysięgał na swojego tatę, można mu było wierzyć. Zresztą Kuba Martínez zawsze był dziwny.

– I gwiżdżesz na to, że będziesz miał awanturę?

– Wcale nie. – Spoważniał. – Ale to nie będzie wielka awantura, bo ja zawsze jestem w porządku. Sam nie wiem, jak to się dzieje, ale zawsze jestem w porządku.

– A ja odwrotnie – westchnąłem. – Sam nie wiem, jak to się dzieje, ale nigdy nie jestem w porządku.

– I mam tego wszystkiego dosyć – powiedział Kuba Martínez.

- Ja też mam dosyć.
- Jak kiedyś usiądziesz za mną, dam ci ściągnąć – obiecał.
- Tylko niech to nie będzie dzień, w którym źle zrozumiesz pytanie, jeżeli można cię o to prosić.

Kuba przyznał, że owszem, można go o to prosić. I jeszcze powiedział coś, co będę pamiętał do końca życia:

– Jak ci się przydarzy coś złego, pomyśl sobie, że to minie; możesz w to nie wierzyć, ale to naprawdę minie i czasami będziesz wspominał różne rzeczy tak, jakby się przydarzyły komu innemu.

– Skąd wiesz?

– Od taty.

Staralem się o tym myśleć w momencie, kiedy mama otwierała list ze szkoły. Pomyślałem: „Za trzy miesiące będę gwizdał na to, co się teraz dzieje, a za trzy lata będzie mi się zdawało, że to się przydarzyło komu innemu”. Usiłowałem nadal o tym myśleć, kiedy zobaczyłem, jakim wzrokiem na mnie patrzy po przeczytaniu listu, ale przestałem, jak na mnie nakrzyczała, dała mi słynnego na cały świat kuksańca i szlaban na sobotę i niedzielę.

Teraz mogę myśleć tylko o tym, że przez najbliższe dwa dni będę zamknięty jak goryl w zoo albo jeszcze gorzej, że będę jak stary chleb, i że nie będę już mógł patrzeć na chipsy. Myślę też, że Kuba Martínez z całą pewnością jest istotą pozaziemską. Nie wiem, czy jest z Marsa, Wenus czy Jowisza. Skądkolwiek by był, mieszkańcy jego planety są z pewnością lepsi niż Ziemiańskie.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Nie wiem, dlaczego to zrobiłem

Nie wiem, dlaczego to zrobiłem. Wpadłem na ten pomysł, jak wracaliśmy z Uszatkiem do domu. Bawiliśmy się w łańcuchy słów. Zuzia mówi, że ta zabawa jest idiotyczna, ale gdybyśmy zwracali uwagę na to, co ona gada, w nic byśmy się nie bawili, bo ona zawsze mówi:

– Ta zabawa jest idiotyczna.

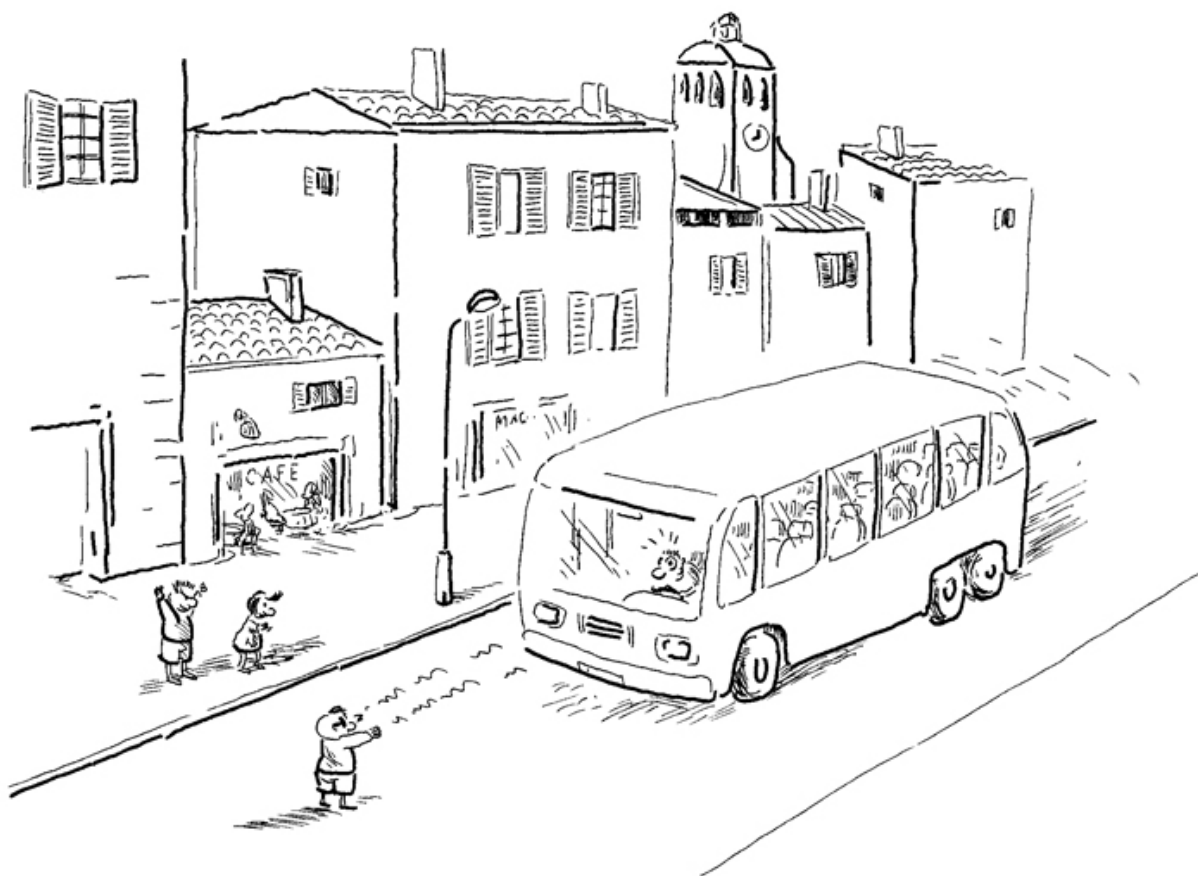
– Jak jesteś taka mądra, to wymyśl lepszą – powiedziałem jej któregoś dnia, bo miałem już tego powyżej uszu.

Lepiej bym zrobił, gdybym nic nie powiedział. Wpadło jej do głowy, żebyśmy stanęli na jezdni, którą nadjeżdża samochód, i uciekli dopiero w ostatniej chwili. Szliśmy parami i miała wygrać para, która będzie dłużej stała na środku ulicy, trzymając się za ręce. Jak kierowcy zobaczyli, że Kamil i Zuzia nie ruszają się z miejsca, zaczęli machać rękami przez okna samochodów i trąbić. Ja bez przerwy przełykałem ślinę i serce podeszło mi do gardła. Uszatкови poczerwieniały uszy jak dwa pomidory. Jego uszy zawsze zmieniają kolor, gdy grozi mu jakieś niebezpieczeństwo. Uczni z całego świata usiłowali to wyjaśnić i nie udało im się. Dziadek mówi, że nauka nie na wszystko potrafi znaleźć odpowiedź.

No więc nadeszła chwila X i stanęliśmy z Uszatkiem na środku ulicy, trzymając się za ręce. Nagle zobaczyliśmy, że nadjeżdża pędem jakiś autokar. Uszatka i mnie zaczął ogarniać słynny śmiech w obliczu śmierci, śmiech, który cię ogarnia, kiedy umierasz na biegunie północnym. Uszatek puścił moją rękę i uciekł na chodnik. Kamil krzyczał:

– Patrzcie na tego faceta, jaki odważny!

Tym facetem byłem ja, Mateuszek Okularnik. Autokar nie mógł mi nic zrobić, ani autokar, ani Jumbo nie mogli mi nic zrobić, bo postanowiłem zatrzymać tego potwora na czterech kołach siłą swojego umysłu. Nie masz pojęcia, jaki byłem zaskoczony, widząc, że autokar się zatrzymuje, bo co innego jest wyobrażać sobie, że się ma nadprzyrodzone zdolności, a zupełnie co innego mieć je naprawdę. Autokar zatrzymał się jak wryty – oj, nie, pomyliłem się, zatrzymał się z piskiem opon. Koledzy bili mi brawo. Nagle zobaczyłem, że drzwi autokaru otwierają się, i pomyślałem: „Teraz kierowca mnie zapyta: – Jak ty to zrobiłeś, Mateuszkule? Jakim cudem siła twojego umysłu pozbawiła mnie kontroli nad pojazdem?”.



Ale zaraz potem zorientowałem się, że kierowca nigdy mnie o to nie zapyta. To nie był nieznajomy kierowca, tylko pan Solís, kierowca szkolnego autobusu. Kiedy znalazł się dwa i pół metra przede mną, zrozumiałem, że nie będzie mi gratulował z powodu siły mojego umysłu.

Pan Solís złapał mnie za kurtkę, żeby mnie zaprowadzić do pani dyrektorki. Pan Solís krzyczał, czy zdaję sobie sprawę, że mogłem spowodować śmierć swoją i jego. Pan Solís nazwał mnie zwariowanym kamikadze. Moi koledzy przestali klaskać i zniknęli; po prostu jakby rozplynęli się w powietrzu. Pan Solís krzyczał na mnie tak bardzo, że napluł mi niechcący na okulary. Nagle samochody stojące za autokarem pana Solísa zaczęły trąbić, bo nie mogły przejechać. Pan Solís musiał więc wsiąść do

autokaru. Nim odjechał, wrzasnął, że tym razem cudem uniknąłem krzesła elektrycznego i żebym mu się więcej nie pokazywał na oczy.

Wróciłem do domu sam, ze śliną pana Solísa na prawym szkłe okularów, bo człowiek miewa w życiu takie chwile, kiedy nie jest w stanie nawet wyczyścić sobie okularów. Tego dnia nie jadłem podwieczorku i nie miałem ochoty na kolację. Mama zaniepokoiła się.

– Co mu się stało?

Więc musiałem udawać, że nic, bo nie chciałem, żeby mama się dowiedziała, że jej syn jest dużo gorszy, niż sobie wyobrażała.

W nocy śniło mi się, że leżymy z panem Solísem martwi w dwóch skrzyniach, jeden obok drugiego. Nie przeszkadzało mi, że leżę w trumnie; przeszkadzało mi natomiast, że nikt się nie zatroszczył o to, żeby zetrzeć z moich okularów ślinę pana Solísa, i nie mogłem zobaczyć, kto przyszedł na mój pogrzeb.

Obudziłem się spocony, tak jak bohaterowie filmów, i obudziłem dziadka, żeby mu opowiedzieć, co mi się przytrafiło. Dziadek stwierdził, że nie muszę zawsze robić tego, co mi radzą koledzy, i że być odważnym to nie znaczy robić to, co wymyślą największe łobuziaki, i że gdyby Kamil i Zuzia byli tacy odważni, za jakich się uważają, zostaliby, żeby bronić kolegi.

Czyli że dziadek przyznał rację panu Solísowi. Po raz pierwszy w życiu dziadek nie stanął po mojej stronie, więc zacząłem płakać, bo prawdę mówiąc, czułem się bardzo samotny na planecie zwanej Ziemią. Wtedy dziadek powiedział, że jest pewien, że nigdy już nie zrobię takiego strasznego głupstwa, więc zapomnijmy o całej

sprawie, a poza tym tylko ten się nie myli, kto nic nie robi, i że idziemy spać.

Więc jak już mówiłem na początku, wracaliśmy z Uszatkiem do domu w parę dni po tej okropnej historii, bawiąc się w łańcuchy słów. On rzucił:

– Piłka.

– Kaczor – odpowiedziałem.

Jak widzisz, jest to zabawa trochę mniej niebezpieczna od tych, które lubią Zuzia i Kamil. Ma tylko jedną wadę: na końcu zawsze jest remis, bo jeden z nas mówi:

– Masło!

– Słoma – odpowiada drugi.

– Masło.

– Słoma!

I tak aż do końca świata albo aż się rozejdziemy, każdy w swoją stronę, bo już nie możemy na siebie patrzeć.

Właśnie skończyliśmy bawić się w łańcuchy słów, gdy nagle przyszło mi do głowy, co zrobić za parę minut. Kiwnąłem Uszatкови głową na pożegnanie i pobiegłem do domu. Wszedłem na klatkę schodową, drżąc z przejęcia, otworzyłem plecak i wyjąłem z niego trzy grube flamastry, które dostaliśmy na Boże Narodzenie od pana Marcina ze sklepu rybnego i na których było napisane: „Wesołych Świąt. Sklep rybny. U Marcina”. Mama, która do wszystkiego musi się przyczepić, skrzywiła się: „Lepiej by zrobił, gdyby podarował każdej klientce kilo krewetek”.

Zdjąłem skuwki z moich superflamastrów i zacząłem wchodzić po schodach, przyciskając końce do ściany. „Ale fajnie”, pomyślałem. Rysowałem trzy linie: czerwoną, niebieską i czarną.

Staralem się, żeby były równiutkie i wyglądały jak balustrada. Nie da się ukryć, że nie było to całkiem normalne. Zrobiłem tę fantastyczną balustradę aż do trzeciego piętra. Dlaczego właśnie do trzeciego? Bo mieszkam na trzecim piętrze, o czym wie cała Hiszpania.

Mama otworzyła mi drzwi i spojrzała na moje ręce, jak zawsze, kiedy wracam do domu. Mama patrzy na twoje ręce i wie, gdzie byłeś, o której godzinie, a czasami nawet z kim. Kiedyś przyszliśmy z dziadkiem do domu później niż zwykle. Mama wzięła mnie za rękę, powąchała ją i powiedziała do dziadka: „Ładnie to tak fundować dzieciakowi krewetki? A obiad kto zje?”.

Mówię ci, mama nie pracuje w CIA, bo Amerykanie jej tego nie zaproponowali, ale jest pierwszorzędnym szpiegiem.

O czym to ja mówiłem? Aha, że mama spojrzała na moje ręce i zobaczyła, że są poplamione flamastrami. Nagle zbladła jak płótno, bo zauważyła moją fantastyczną balustradę. Zaczęła schodzić po schodach i doszła pewnie aż do drzwi wejściowych. Głupek poczłapał za nią, wodząc palcem po kolorowych liniach. Potem usłyszałem, że mama bardzo powoli wchodzi z powrotem. Kiedy mama robi coś bardzo powoli, to znaczy, że za chwilę wybuchnie Trzecia Wojna Światowa, więc jak była na drugim piętrze, zacząłem płakać, mając nadzieję, że może dzięki temu nie zostanę skazany na śmierć. Płakałem troszeczkę, bo coś mi mówiło, że powinienem zachować swój zapas łez na następne pięć godzin.

Intuicja mnie nie zawiodła, moi drodzy. Jak mama weszła na trzecie piętro, dostałem kuksańca.

Mamy nie zaangażowali do trzeciej części „Karate Kid”, bo nie ma sprawiedliwości na tym świecie, ale mama jest sto tysięcy razy lepsza od nauczyciela Karate Kida. Jak mi wtedy dała kuksańca, pomyślałem sobie: „Tym razem się nie popisała”.

Ale w pół godziny później to miejsce zaczęło mnie palić żywym ogniem. Gdyby w tym momencie rzucono mi na kark jajko, zrobiłaby się z niego jajecznicą. Nic dodać, nic ująć. Mimo to sto razy wolę kuksańce od wymówek. Jak mama zacznie cię strofować, masz przechlapane. Potrafi przynudzać całymi tygodniami, miesiącami, a nawet latami.

Tamtego dnia sprawa wyglądała bardzo poważnie. Mama powiedziała:

– Ten chłopak do grobu mnie wpędzi. Pomazał flamastrami całą klatkę schodową, a dopiero była malowana. I od razu się wyda, że to on, bo linie, które porobił ten smarkacz, kończą się przy naszych drzwiach. Administracja każe nam zapłacić za farbę, zostaniemy bez pieniędzy...

Mama mówiła, mówiła i mówiła, ale ja już jej nie słuchałem. Łzy, które płynęły w tym momencie z moich oczu, były łzami rozpaczy. Wyobrażałem sobie całą naszą rodzinę i siebie samego na ulicy, skostniałych z zimna, w dziurawych koszulkach, zebrzących o jałmużnę i kanapkę na podwieczorek, tak samo jak tamta rodzina, którą widzieliśmy pewnego dnia na placu Puerta del Sol, jak śpiewała, żeby dostać parę groszy. Dziadek dał im trzysta peset, żeby zamilkli na chwilę, bo działali mu na nerwy. Ludzie pochwalili niezwykły pomysł dziadka, bo nie da się ukryć, że tamta rodzina śpiewała gorzej niż wszystkie inne, które kiedykolwiek spotkałem. Dziadek mówi, że ta rodzina zarabia

teraz na życie, chodząc do parków z kartką: „Jak nam nie dasz jałmużny, będziemy śpiewać (mamy flet i gitarę z czterema strunami)”.

Myślę, że nieźle im się powodzi; ludzie napełniają im czapkę złotymi monetami. Dziadek jest wielkim oryginałem, który bardzo pomaga ludziom. Jest podobny do Supermana, tylko ma mniejsze możliwości; nazywamy go z Głupkiem Superprostata.

Mama mówiła dalej:

– Zaraz przyjdą sąsiedzi i powiedzą: „Powinnaś związać ręce swojemu Mateuszkowi” i „Kto teraz zapłaci za malowanie?”. A wieczorem wróci tata i powie: „To twoja wina, nie trzeba mu było dawać flamastrów” i „Może mi powiesz, skąd weźmiemy pieniądze na ten nieprzewidziany wydatek?”.

Wtedy dziadek wstał z krzesła, jakby był w sejmie, podniósł rękę, jakby chciał powiedzieć coś bardzo ważnego, i oświadczył:

– Nie martwcie się, bo... idę na chwilę do ubikacji.

Wcale nie zamierzaliśmy się martwić, że idzie na chwilę do ubikacji. Czasami musi tam lecieć pędem z powodu tej przeklętej prostaty i wtedy przerywa najlepsze zdania swojego życia. Po chwili wrócił.

– Nic się nie martwcie, dziadek Mikołaj to załatwi.

Głupek zaczął klaskać. Dla niego życie jest bardzo proste; ja też tak myślałem, jak byłem mały.

– Kasiu – dodał dziadek ze swojego krzesła w sejmie – ani słowa więcej.

Jak tylko mama poszła sprzątać w kuchni, dziadek poprosił mnie z tajemniczą miną o flamastry. Wyjąłem je z plecaka

i dałem mu. Mrugnął do mnie porozumiewawczo i wyszedł z domu, nie mówiąc ani słowa.

Usiadłem na kanapie, ale ciekawość sprawiła, że moje życie na kuli ziemskiej stało się nie do zniesienia. Wymknąłem się niepostrzeżenie z domu, tak samo jak dziadek. Kiedy zobaczyłem to, co zobaczyłem, nie wierzyłem własnym oczom. Z tobą byłoby tak samo.

Dziadek rysował flamastrami następne trzy linie z trzeciego piętra na czwarte. Podeszedłem do niego powolutku i szepnąłem:

– Dziadku.

– Ojej, Mateuszk, ale mnie wystraszyłeś – wyznał.

Rozmawialiśmy równie cicho jak wtedy, kiedy leżymy w łóżku.

– Co robisz, dziadku?

– Narysuję linie do czwartego piętra, wtedy nikt nie powie, że to twoja wina. Równie dobrze mógł to zrobić sąsiad z czwartego. Choćby się upierali, że to twoja sprawka, zaprzeczaj wszystkiemu. A teraz wracaj do domu.

Superprostata znów działał. Wróciłem do domu i po pięciu minutach usłyszeliśmy krzyki przed naszymi drzwiami. Wybiegliśmy z mamą i z Głupkiem na klatkę schodową. Z drugiego piętra przyszła pani Lusia, a z piątego sąsiad, który nie wiem, jak się nazywa. Facet z czwartego krzyczał:

– Otwieram drzwi i co widzę?! Pan Mikołaj rysuje flamastrem linie koło mojego mieszkania. Ja sobie wypraszam! Do czego to podobne! Jak tak można!

Sąsiedzi zorientowali się, że linie są na wszystkich piętrach. Mama milczała, a jak moja mama milczy, to znaczy, że Ziemia

przestała kręcić się wokół Słońca, to zostało dowiedzione. Głos zabrała pani Lusia:

– Panie Mikołaju, gdyby to zrobiło dziecko, na przykład Mateuszek, machnęlibyśmy ręką, ale w przypadku osoby dorosłej sprawa się kwalifikuje na kolegium.

Zdaje mi się, że miałem historyczną szansę wyznać, że to moje dzieło, ale dziadek mnie uprzedził:

– Panie i panowie – powiedział głosem aktorów umierających w filmach. – Czuję, że za chwilę zemdleję.

Mama wzięła go pod rękę i weszli oboje do mieszkania. Sąsiedzi spoglądali po sobie w milczeniu, nie wiedząc, co powiedzieć. Pani Lusia, która zawsze odzywa się pierwsza, postawiła prowizoryczną diagnozę:

– To niewydolność krążenia. Mój dziadek też zaczął robić głupstwa z powodu niewydolności krążenia. W trzy i pół miesiąca potem umarł.

W tym momencie zacząłem płakać. Pani Lusia zmiażdżyła mnie w objęciach, wycierając mi łzy rękami. Jej ręce pachniały czosnkiem; u niej w domu nawet deser jada się z czosnkiem. Widziałem to na własne okulary.

Facetowi z czwartego było łyso, bo teraz nikt na klatce schodowej nie pochwałał krzyczenia na dziadka z niewydolnością krążenia.

Wróciła mama, wydobyła mnie z miażdżących objęć pani Lusi i przytuliła. Ręce mamy pachniały płynem do mycia naczyń, którego używa się u nas w domu. Mama wyznała:

– Nie chciałam tego rozgłaszać, ale... mój ojciec ma starczy obłęd; pomazał klatkę schodową, bo traci głowę. Zapłacimy, ile

będzie trzeba.

Pani Lusia powiedziała, że w żadnym wypadku, że te linie nikomu właściwie nie przeszkadzają i że trzeba mieć litość nad biednymi staruszkami, którzy wkrótce opuszczą planetę Ziemię. Byłem wstrząśnięty: odkrycie, że mój dziadek jest starym wariatem, któremu pozostało trzy i pół miesiąca życia, było czymś okropnym dla takiego wnuka jak ja.

Wszyscy się rozeszli z dość smutnymi minami; prawie składali nam kondolencje. Sąsiad z czwartego wrócił do siebie jako morderca dziadków, w którego przed chwilą się zmienił, a my weszliśmy do domu. Usiadłem w kącie i patrzyłem, co robi dziadek: najspokojniej w świecie moczył kawałek ciasta sprzed kilku dni w szklance mleka.

On najbardziej lubi czerstwy chleb albo bułki, które wrzuca do mleka z cukrem. Nazywa to „superwyżerką”. Nagle mój biedny dziadek wydał mi się bardzo dziwny: to chyba nie jest całkiem normalne, że najchętniej je czerstwe bułki i przedwczorajszy chleb i że zawsze szuka w lodówce resztek z poprzedniego dnia. Mama często mówi: „U nas w domu nie wyrzuca się jedzenia do śmieci, dziadek nigdy by na to nie pozwolił. Mogliby go zatrudnić w Miejskim Przedsiębiorstwie Oczyszczania”.

Prawdę mówiąc, było mi strasznie przykro mieć dziadka wariata. W dodatku bałem się, że rzuci się na mnie wieczorem.

Nadszedł wieczór, a potem noc. To nie takie proste iść spać z dziadkiem wariatem, ale nikt się tym nie przejmował. Tata jak zwykle narzekał na kolację:

– Znowu kartoflanka, znowu kasza. Kasiu, zanudzisz mnie na śmierć.

A Głupek śmiał się, jak co wieczór, z żarcików dziadka, nie wiedząc, że to nie żarciki, tylko obłąd z powodu niewydolności krążenia. Zapytałem mamę, myjąc nogi przed pójściem spać:

– Czy mogę spać z Głupkiem?

– Co też ci strzeliło do głowy, synku? Nigdy nie chciałeś być z nim w jednym pokoju. Musieliśmy zbudować balkon, żebyś mógł mieszkać z dziadkiem, a teraz mówisz, że chcesz spać z bratem. Chyba masz nie po kolei w głowie.

– Czy obłąd jest dziedziczny?

– Chyba nie chcesz powiedzieć, że jestem obłąkana?

– Nie, chodzi mi o dziadka.

– Ach, o niego – powiedziała mama, uśmiechając się tajemniczo.

– On to całkiem zbzikował.

Chwila prawdy nadeszła. Znaleźliśmy się z dziadkiem, jak co wieczór, w ciemnym pokoju, w którym grało radio.

– Mateuszk, chodź, dziecko, rozgrzej mi nogi.

Tak powiedział i dał mi dwadzieścia pięć peset do skarbonki, jak co wieczór. A ja przyszedłem do niego do łóżka. Czy miałbyś dość odwagi, żeby powiedzieć „nie” wariatowi z niewydolnością krążenia? Kiedy nogi dziadka były już ciepłe, westchnął i powiedział jak zawsze przed zaśnięciem:

– Co za ulga, teraz to zupełnie co innego. – Ale tamtej nocy dziadek mówił dalej: – Z początku o mało nie dostałem zawału, kiedy ten z czwartego otworzył drzwi i nakrył mnie, jak rysowałem linie na jego piętrecie; potem wpadłem na pomysł, żeby powiedzieć, że mi słabo, a potem twoja mama wymyśliła obłąd starczy. Musisz przyznać, Mateuszk, że nieźle to wykombinowaliśmy, co?

A więc mama skłamała, dziadek udął wariata, sąsiedzi dali się nabrać, a ja... ja też. Czasami jestem głupszy, niż to się wydaje na pierwszy rzut oka.

– Czyli że ani nie jesteś wariatem, ani nie umrzesz za trzy i pół miesiąca?

– Nie ma obawy, jestem skończoną świnią, ale mam mózg jak nowo narodzone dziecko.

Co za dzień! Mój zapas łez całkowicie się wyczerpał, więc miałem nadzieję, że następnego dnia nie zdarzy się nic złego ani ja nie popełnię żadnego przestępstwa.

Jedno było jasne: czasami coś robię i sam nie wiem dlaczego.

– Dziadku, nie wiem, dlaczego to zrobiłem. Nie wiem, dlaczego pomazałem klatkę schodową flamastrami.

Wtedy dziadek wyjaśnił mi, że człowiek nie zawsze wie, dlaczego robi pewne rzeczy. Dodał też, że odkąd istnieją flamastry na tym bożym świecie, wiele dzieci malowało nimi po ścianach i żadne z nich nie wie, dlaczego to zrobiło.

– A jak nie było flamastrów?

Dziadek powiedział, że mazali po ścianach ołówkami, a wcześniej farbą olejną, a jeszcze wcześniej wszystkim, co im wpadło w rękę. Zastanowiłem się głęboko, po czym zaryzykowałem stwierdzenie:

– Może dziecku, które narysowało zwierzęta w jaskini Altamira, też zrobili awanturę.

– Bardzo możliwe.

– Ale patrz – aż usiadłem na łóżku z przejęcia – teraz ludzie płacą, żeby to zobaczyć.

– Zgadza się.

Zasnąłem bardzo zadowolony; myślę, że to była najszcześniejsza noc w moim życiu. Bo uniknąłem największej awantury, bo dziadek nie jest wariatem, bo nie umrze przed rokiem 1999, a za pięćset lat przyjadą specjaliści z całego świata, żeby sfotografować linie w jednym z domów w Carabanchel i te zdjęcia znajdą się we wszystkich podręcznikach szkolnych.

Na drugi dzień przed pójściem do szkoły wyjąłem znowu jeden z moich flamastrów „Wesołych Świąt. Sklep rybny. U Marcina” i napisałem małutkimi literkami w rogu klatki schodowej:

„Mateuszek Okularnik. Luty 1993”

Chciałem ułatwić zadanie naukowcom z XXV wieku i chciałem, żeby na zdjęciach w podręcznikach było moje nazwisko. Dziadek trochę mi pomógł, ale to ja byłem głównym pomysłodawcą i artystą.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Pokój na całym świecie



Przed dziesięcioma dniami i dziesięcioma nocami nasza pani weszła do klasy punkt dziewiąta, nie dając nam tym razem pięciu minut, w czasie których wypominamy sobie zwykle, co kto komu zrobił złego poprzedniego dnia.

Nasza pani nabrała powietrza i prawie wszyscy ziewnęliśmy, bo nie lubimy wysłuchiwać jej przemówień o tak wczesnej porze.

Pani powiedziała:

– Chciałabym, żebyśmy w tym roku przygotowali się do karnawału tak, jakby to miał być ostatni karnawał w naszym życiu. Weźmiemy udział w konkursie przebierańców Eurowizji, który odbędzie się w przyszłą sobotę w jednej z dyskotek w Carabanchel. Wystąpią dzieci ze szkół w całej dzielnicy i musicie wszystkim pokazać, że umiecie się zachować, jak Pan Bóg przykazał, a nie jak przestępcy, na których wyglądacie.

Nie pozwoliliśmy jej dokończyć; w klasie powstał nieopisany tumult. Kamil wstał i oznajmił:

– Ostrzegam: ja się przebieram za Supermana i mówię o tym, żeby nikt więcej nie przebrał się za Supermana, bo w tej galaktyce jest tylko jeden Superman i ja nim jestem, i nie chcę z tego powodu z nikim zadzierać. Powtarzam: to jest ostrzeżenie.

A na to Uszatek:

– To za kogo ja się przebiorę, jeśli mam tylko strój Supermana i mama nie zechce mi kupić innego?

W całej klasie rozległy się okrzyki: „I ja... i ja... i ja...”, bo wszyscy chłopcy mają ten sam strój Supermana po wieki wieków.

Kamil ostrzegł, a potem rzucił się z pięściami na pierwsze dziecko, które mu się nawinęło, bo w chwili, kiedy napięcie sięga szczytu, Kamil wali na oślep. Nie wiem, dlaczego akurat ja mu się nawinałem; może mama rzeczywiście ma rację, mówiąc, że zawsze jestem pośrodku, jak czwartek. Na szczęście mam refleks, więc od razu się obroniłem:

– Tym razem nie musisz mi rozwalać okularów, Kamil. Wszyscy wiedzą, że wolę być Człowiekiem–Pajakiem.

Wtedy jeden facet z naszej klasy oświadczył, że Człowiekiem–Pajakiem będzie on, a dziewczynka, która chciała być Piękną, krzyczała, że jest jej potrzebna Bestia... Jednym słowem, doszło do tego, że zaczęliśmy się bić, bo jest to jedyny sposób rozwiązywania konfliktów, jaki znamy.

Nasza pani, strasznie zdenerwowana, zaczęła walić linijką w stół, dzięki czemu przypomnieliśmy sobie, że jesteśmy w klasie i że nasza pani nie ma nad nami litości. Nasza pani twierdzi, że wali linijką w stół, żeby sobie ulżyć. Prawdę powiedziawszy, najchętniej waliłaby nas po głowach, ale, niestety, konstytucja hiszpańska na to nie pozwala. „Gdyby nie konstytucja – powtarza czasem nasza pani – siedzielibyście cicho jak trusie”.

Nasza pani powiedziała, że nie chce słyszeć o żadnych supermanach ani ludziach–pajakach, ani pięknych, ani bestiach; musimy udowodnić całemu Carabanchel, Hiszpanii, Stanom Zjednoczonym i planecie Ziemi, że jesteśmy porządnymi dziećmi i walczymy o pokój na tym bożym świecie, w związku z czym ona postanowiła, że się przebierzemy – trzydziścioro rozrabiaków – za gołąbki pokoju.

Gdyby nie to, że pani była uzbrojona w linijkę, a poza tym jest naszą panią, a my jesteśmy bandą tchórzów, powiedzielibyśmy jej chórem: „Wypchaj się sianem i pomaluj na zielono”.

Byliśmy strasznie zawiedzeni; to było największe rozczarowanie, jakie nas kiedykolwiek spotkało. Wszyscy zamilkliśmy; już nic nas nie cieszyło na tym bożym świecie. Wtedy nasza pani zaczęła mówić dalej:

– Komisja, którą będzie Rada Osiedla, da nam pierwszą nagrodę, bo nie ma w Hiszpanii takiej komisji, która odmówiłaby

pierwszej nagrody trzydziściorgu dzieciom przebranych za gołąbki pokoju. Poza tym dostaniemy mnóstwo prezentów. Będziemy przez jeden dzień symbolem pokoju na całym świecie i aż do soboty nasz okrzyk wojenny będzie brzmiał: „Już my im pokażemy!”.

To się nam spodobało; z takim okrzykiem wojennym możemy iść na koniec świata. Już my im pokażemy – wszystkim dzieciom ze wszystkich szkół w całej dzielnicy – nasze stroje supergołąbków pokoju.

Moja mama i mamy trzydziściorga rozrabiaków zrobiły nam z krepiny stroje gołąbków. Mama narzekała, że nasza pani tylko szuka okazji, żeby kazać jej wydawać pieniądze i pracować. Że ona mi kupiła strój Człowieka–Pajaka, żeby mieć święty spokój do czasu, kiedy pójdę do wojska i dadzą mi strój żołnierza. Że ona nie wie, jak się robi strój gołąbka, a spokoju to potrzebuje ona, dużo spokoju na pustej plaży w Benidorm, i bez dzieci, bo dla niej pokój na całym świecie to jest właśnie to.

Zamilkła na trzydzieści tysięcznych sekundy, a potem znów zaczęła biadolić, że jak nie będę stał spokojnie, to niczego nie przymierzemy, że ze mną trzeba bardzo uważać, bo żadne ubranie mi nie przechodzi przez głowę. „To dziecko – chodziło o mnie – do niczego się nie nadaje, za to ma łeb jak bania”. Dziadek pocieszał nas:

– Jak Einstein. Wszyscy wielcy ludzie mieli łeb jak bania.

Głupkowi musiała zrobić także strój gołąbka, bo Głupek co zobaczy, to zaraz chce mieć i gdyby nie dostał takiego samego przebrania jak ja, przestałby jeść. Mama mówi, że któregoś dnia

może się odwodnić. Mało mnie to wzrusza; jeżeli się odwodni, sam będzie sobie winien. Bardzo mi przykro.

W rezultacie w dniu K (K jak konkurs i jak karnawał) mama ubrała nas w te stroje z krepiny i powiedziała, żebyśmy poszli do szkoły. Bardzo lubi patrzeć, jak wychodzimy z domu, trzymając się za ręce, przebrani za pokój na całym świecie. Nie pytaj mnie dlaczego, bo sam tego nie rozumiem.

Na schodach spotkaliśmy panią Lusię, która zawołała:

– Co strzeliło waszej mamie do głowy, żeby was poprzebierać za pingwiny?!

Więc nie miałem innego wyjścia, jak zaciągnąć Głupka z powrotem do domu i powiedzieć mamie, że nie pokażę się na ulicy przebrany za pingwina, choćby wymagał tego pokój na całym świecie. Mama stwierdziła, że pani Lusia nie odróżnia swojego męża–pingwina od swojej matki–gołębicy i żebyśmy lecieli w te pędy do szkoły, bo znowu się spóźnimy.

Na ulicy jedna pani powiedziała do drugiej:

– Zobacz, jakie śliczne pingwiny.

Ale tym razem nie miałem ochoty wracać do domu, bo są w życiu mamy takie chwile, kiedy traci panowanie nad sobą, a my bądź co bądź broniliśmy pokoju na całym świecie.

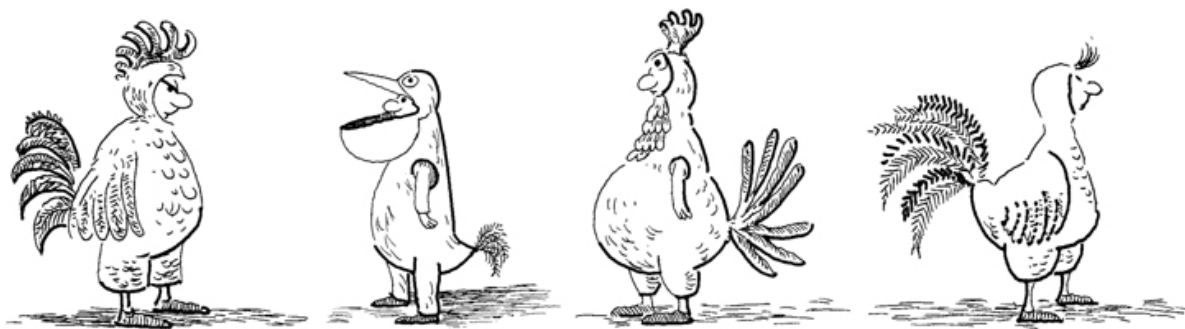
Kiedy przyszliśmy do szkoły, zatkało nas: w drzwiach stał Kamil, który wyglądał jak kura, Uszatek jak indyk, Zuzia jak struś, Kuba Martínez jak pelikan i tak aż do trzydziestu trzech. Nie było dwóch identycznych ptaków. To znaczy owszem, Głupek i ja, „śliczne pingwiny”.

Dziadek, który nadszedł w tym momencie, powiedział:

– Gdyby to zobaczył Alfred Hitchcock, na pewno nakręciłby drugą część „Ptaków”.

Spojrzelismy po sobie i powlekliśmy się przygnębieni, pod eskortą naszej pani, do dyskoteki Romeo, gdzie odbywał się festiwal.

Nasza pani nie chciała być gorsza: też się przebrała i wyglądała jak kaczka albo gęś. Machając skrzydłami, powiedziała, że festiwal będzie transmitowany przez Radio Carabanchel, które nie ma pieniędzy na mikrofony, więc robi programy – tak mówi mój dziadek – starym indiańskim sposobem: otwierają okna i porozumiewają się, krzycząc.



Nasza pani była taka zadowolona, że w ogóle nie przypominała naszej pani. Gdyby nie to, że my też udawaliśmy ptaszyska, tarzalibyśmy się ze śmiechu, widząc, jak paradyje przebrana za pokój na całym świecie. Pani oznajmiła, że jak wyjdziemy na estradę, ona powie:

– Raz, dwa, trzy!

A my odpowiemy jej, machając skrzydłami i krzycząc wszyscy naraz, na całe gardło:

– Niech żyje pokój na całym świecie!

Nasza pani chciała zrobić próbę, więc wrzasnęła jak zwariowana na środku ulicy:

– Raz, dwa, trzy!

Zamierzaliśmy krzyknąć: „Niech żyje pokój na całym świecie!”, ale poplątały się nam skrzydła, którymi zaczęliśmy machać, i gdyby pani nie zaprowadziła porządku, przyszlibyśmy do dyskoteki całkowicie oskubani z piór. Pani powiedziała, żebyśmy na razie zapomnieli o machaniu skrzydłami, że pomachamy sobie, jak już dostaniemy nagrodę.



Dotarliśmy do dyskoteki. Usiedliśmy – nas trzydzieścioro i Głupek – w kącie. Konkurs prowadził dyrektor przedszkola Kajtuś, które znajduje się niedaleko naszego domu. Był przebrany za Supermana. Kamil aż zgrzytał zębami z zazdrości. Skorzystałem z okazji, żeby się trochę popisać przed tym łobuziakiem Kamilem. Powiedziałem:

– Ten facet ma za duży brzuch, żeby być Supermanem. Taki grubas nie może latać nad wodospadem Niagara, bo nie pozwala mu na to siła przyciągania naszej planety.

– A gdyby spróbował? – zapytał Kamil, którego bardzo interesują moje teorie.

– Rozklapciałby się na ziemi.

Moja wiedza zrobiła na Kamilu duże wrażenie, a poza tym wyraźnie poprawił mu się humor. To, że „rozklapciałby się na ziemi”, przywróciło mu wrodzony optymizm. Już nie zazdrościł Supermanowi, tylko patrzył na niego sponad piór, jak patrzy zawodowy superbohater na superbohatera z bożej łaski.

Na scenę wychodziły grupy z poszczególnych szkół, zapowiadane przez Superbrzuchacza, a my gwizdaliśmy na ich widok. Trudno, żebyśmy oklaskiwali naszych wrogów. Nie zapominaj, że nasze hasło brzmiało: „Już my im pokażemy!”.

Jedni wyszli przebrani za drzewa. Nazywali się „Jesień”. Ciągnęli za łańcuch zwisający z gałęzi i w tym momencie spadały liście. Było to tak głupie, że publiczność zaniemówiła. Ich rodzice przynieśli transparent, żeby dodać dzieciom otuchy; oczywiście nikt poza nimi nie klaskał. Reszta patrzyła w milczeniu, jak łazili przez dziesięć minut po scenie, zbierając liście, które porozrzucali. Potem wyszli klasyczni superbohaterowie: dzieci z nożami wbitymi w plecy (oczywiście na niby) odtwarzały wydarzenia z kroniki policyjnej.

My wystąpiliśmy jako piąta grupa; po „Raz, dwa, trzy” naszej pani mieliśmy krzyknąć: „Niech żyje pokój na całym świecie!”, ale nie zdążyliśmy tego zrobić, bo jak pani odliczyła: „Raz, dwa, trzy”, odezwał się jakiś chłopak, który chodzi do zawodówki na naszym osiedlu:

– Brawo, Kamil, wyglądasz jak stuprocentowa kura!

Kamil zeskoczył ze sceny, żeby przyłożyć temu dowcipnisiowi. Zuzia za Kamilem, żeby go bronić, a cała reszta za Zuzią i Kamilem, bo gdybyśmy nie stanęli w jego obronie, stłukłby nas na kwaśne jabłko. Ojciec tego chłopaka z zawodówki poparł syna:

– Mój syn dobrze mówi: Kamil miał wystąpić w roli gołębia, a wygląda jak kura, więc coś tu jest nie w porządku.

Nasza pani, przebrana za kaczkę, została na scenie sama i rozplakała się, biedactwo. My tymczasem musieliśmy rozdzielić naszych rodziców i rodziców tych z zawodówki, bo obawialiśmy się, że może dojść do rękoczynów, a my przecież walczyliśmy o pokój na całym świecie.

Już myśleliśmy, że to będzie najgorszy karnawał w naszym życiu, ale nie uwierzysz, co się zdarzyło na zakończenie, bo czegoś takiego nie spodziewali się nawet Chińczycy z Rosji.

Jak już zaprowadziliśmy porządek i wszyscy zeszli ze sceny, zjawił się na niej Superbrzuchacz, który wyglądał jak Superman na emeryturze, i zaczął udawać, że fruwa. Podczas jednej z prób oderwania się od ziemi o mało się nie zabił. Gdyby to było takie proste, wszyscy byliby superbohaterami, spokojna głowa. Prawdę mówiąc, byliśmy mu bardzo wdzięczni za tę wpadkę, bo przez całe popołudnie z niczego się tak nie uśmialiśmy jak z tego. Kamil tłumaczył chłopakom z innej szkoły:

– Ten facet ma za gruby brzuch, żeby być Supermanem, bo „skała popychania” naszej planety jest tak wielka, że rozklapciałby się na ziemi.

Skała popychania! Co za dureń z tego Kamila: jedynym słowem, które zapamiętał z mojego wykładu, było słynne „rozklapciać się”. Ale nie myśl sobie, że zwróciłem mu uwagę; gdybym to zrobił, też

bym się dowiedział, co to znaczy rozklapciać się na tej planecie, o której jest ciągle mowa.

Superbrzuchacz przeczytał, kto dostał jaką nagrodę, od trzeciej do pierwszej, żeby było więcej emocji.

– Trzecią nagrodę zdobyła niezwykle sympatyczna i oryginalna grupa „Kronika Policyjna”!

Wśród publiczności rozległy się gwizdy:

– Pogonić ich!!!

Drugą nagrodę otrzymała grupa „Jesień” za przepiękną prezentację pory roku równie ważnej jak pozostałe.

„Przepiękną”? Powiedziałem Kamilowi, że cała ta komisja powinna wylądować w wodospadzie Niagara, a za nią, oczywiście, Superbrzuchacz. Również i tym razem przyznał mi rację. Największy łobuziak w klasie przyznawał mi we wszystkim rację; stałem się nagle jego najlepszym kolegą. Byłem bardzo dumny z siebie, bo jak największy łobuz w szkole jest twoim kolegą, możesz spać spokojnie; to tak, jakbyś miał do dyspozycji dzinna z czarodziejskiej lampy, który gotów jest zawsze obronić cię przed nieprzyjacielem.

– Natomiast pierwszą nagrodę... – Superpajac zawiesił głos, żeby zrobić większe wrażenie. Zapewniam cię, że było słychać zgrzytanie zębów zniecierpliwionych widzów. – Pierwszą nagrodę przyznaliśmy jednogłośnie grupie „Ptaki”, która wystąpiła w obronie ginących gatunków.

Ponieważ nikt nie wystąpił, facet musiał powtórzyć. Spojrzeliśmy po sobie: przecież nam chodziło o pokój na całym świecie...

Najwyraźniej nikt tego nie zauważył, więc musieliśmy przyjąć do wiadomości, że jesteśmy grupą ginących gatunków ptaków. Człowiek nie zawsze jest w życiu tym, czym chciałby być.

Musieliśmy wejść jeszcze raz na scenę, żeby odebrać nagrodę. Nagroda była w wielkiej pacy. Rzuciliśmy się na nią wszyscy, żeby ją otworzyć. Głupek próbował otworzyć ją zębami. W zamieszaniu, jakie powstało, pogubiliśmy skrzydła, ale to nie miało żadnego znaczenia; skoro byliśmy ginącymi gatunkami ptaków, nie musieliśmy się już zajmować pokojem na całym świecie. Nasza pani utorowała sobie drogę, szczypiąc nas podstępnie, i zdołała otworzyć pacę swoimi wszechwładnymi rękami. Superbrzuchacz poprosił o wielkie oklaski dla nagrody. Były to najróżniejsze pomoce szkolne: książki, zeszyty i tym podobne rzeczy. Więc cały ten mętlik z pokojem na świecie był tylko po to, żeby wygrać podręczniki! Jedynym, który bił brawo, był Głupek; on, odkąd żyje na tym świecie, nigdy się jeszcze nie uczył i nie wie, co to jest, więc trzeba mu wybaczyć.

Zeszliśmy ze sceny. Nie mieliśmy tam nic więcej do roboty. Nagrodę mogła sobie zabrać nasza pani i schrupać ją na deser. Oglądała z zachwytem wszystkie książki i na pewno planowała nowe zadania, za pomocą których zrobi nam wkrótce pranie mózgów. Nasi rodzice byli dumni ze swoich dzieci reprezentujących ginące gatunki.

Po południu pozwolono mi pójść do parku Wisielca. Włożyłem superstrój Człowieka–Pajaka. Mama powiedziała do pani Lusi:

– Oj, te dzieciaki. Przebiorą się za superbohaterów i zadowolone. Mówię ci: jak dzieciak sobie coś wymyśli, to tak ma być i koniec.

Mało brakowało, a zszedłbym na dół po ścianie domu, ale zdaję sobie sprawę, że moje możliwości są ograniczone i że jedyne, co mam z Człowieka-Pajaka, to strój. W parku Wisielca czekali już na mnie koledzy: Kamil jako Superman, Uszatek jako Superman, ale bez płaszcza, bo tym razem występował jako pomocnik Supermana; Zuzia jako Piękna, chociaż wystarczy pobyc z nią chwilę, żeby zrozumieć, że jest Bestią przebraną za Piękną; Kuba Martínez jako Robin Hood. Głupek był ciągle przebrany za pingwina, bo mama go przekonała, że to najpiękniejszy strój na całym osiedlu (w tym wieku jeszcze się wierzy w kłamstwa mamy).



Bawiliśmy się w superbohaterów. Podzieliliśmy się na dwie drużyny. Kamil wziął mnie do swojej. Zapytałem go, czy się zgadza na hasło: „Już my im pokażemy pokój na całym świecie!”. Powiedział, że ekstra. Było jasne jak słońce, że stałem się jego najlepszym kolegą. Bawiliśmy się w ciuciubabkę, w czarnego luda i w stary niedźwiedź mocno śpi; ta ostatnia zabawa polega na tym, że wszystkie dzieci przykucają, a niedźwiedź wybiera sobie jedno z nich i tarmosi je niemiłosiernie; jest to tak zwana zabawa edukacyjna. Robiłem, co mogłem, biegałem i starałem się ze wszystkich sił, ale inni zawsze mnie prześcigali. Jedyną wadą zabaw, które polegają na bieganiu i wymagają dużo siły, jest to, że zawsze przegrywam. Jak Kamil zorientował się, że niedaleko zajedzie, będąc ze mną w jednej drużynie, ogłosił, że od tej chwili koniec z drużynami. Jedyne, na czym zależy Kamilowi, to wygrać za wszelką cenę z Kubą Martínezem. Wygrać z Uszatkiem, Zuzią, Głupkiem albo ze mną to dla Kamila żadna atrakcja.

Wziąłem Głupka za rękę i poszliśmy do domu. Tak naprawdę to poszedłem dlatego, że nie mogłem pohamować łez. Już nie byłem najlepszym kolegą Kamila, tylko jakimś popychadłem; nikomu by nie było przyjemnie na moim miejscu. Głupek zobaczył, że płaczę, i też zaczął beczeć. Jemu się wszystko udziela, i dobre, i złe. Tak mówi mama. Mieliśmy tylko jedną chusteczkę. Najpierw wysmarkałem się ja, a potem przytknąłem jemu chusteczkę do nosa. Zrobił to, co zawsze: przygotował się w wielkim skupieniu, nabrał powietrza, a potem wciągnął wszystko do środka, zamiast wydychać w chusteczkę. To w jego stylu. A ja musiałem się roześmiać, chociaż miałem łzy w oczach, bo trzeba przyznać, że

Głupek jest czasami strasznie śmieszny. W czymś musi być do mnie podobny.

W tym momencie nadbiegł Kuba Martínez i zapytał:

– Co robicie?

– Płaczemy ze śmiechu – odparłem. Nie myślisz chyba, że zamierzałem wyznać mu prawdę.

Wtedy Kuba Martínez zapytał, czy chcę przyjść do niego w niedzielę pograć na komputerze. Ja na to:

– Kamila też zaprosisz?

– Kamil zaraz by mi go rozwalił. Po nim można się wszystkiego spodziewać.

Powiedziałem, że chętnie. Prawdę mówiąc, to nie takie proste grać z Kubą Martínezem na komputerze, bo Kuba Martínez jest we wszystkim najlepszy, a ja jestem we wszystkim najgorszy, ale było mi wszystko jedno. Najmądrzejszy gość, jakiego w życiu znałem, zaprosił tylko mnie. Dlaczego? Bo Mateuszek Okularnik nie rozwala komputerów, bo wiadomo, czego się po nim można spodziewać, bo Mateuszek Okularnik to ktoś, na kim można polegać. Było jasne jak słońce, że Kuba Martínez postanowił, że będę jego najlepszym kolegą. Wydaje mi się, że to była jedna z najszcześniejszych chwil w moim życiu.

Miałem ochotę wejść do domu po ścianie – byłem przebrany za Człowieka–Pajaka – ale nie zrobiłem tego. Mama nie lubi, jak Głupek wchodzi sam po schodach. Ścigaliśmy się z Głupkiem aż do drzwi naszego mieszkania. Wygrałem, oczywiście. Są dwie osoby na tym bożym świecie, które potrafię prześcignąć: Głupek i dziadek Mikołaj. A więc są gorsi ode mnie? Niesłychane!

Jak wkładaliśmy piżamy, dziadek liczył:

– Raz, dwa, trzy.

A my z Głupkiem krzyczeliśmy ze wszystkich sił:

– Niech żyje pokój na całym świecie!

Fantastycznie się bawiliśmy, dopóki nie przyszedł ten beznadziejny sąsiad z góry, że za bardzo hałasujemy. Było jasne jak słońce, że hasło naszej pani ciągle komplikuje nam życie.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Sto lat!



Dziadek nie chciał obchodzić swoich urodzin. Powiedział, że nie, nie i nie. Mama mówiła:

- Ależ tato, osiemdziesięciu lat nie kończy się codziennie.
- Chwała Bogu – powiedział dziadek. – Tego tylko brakowało, żeby człowiek był co chwila narażony na takie nieprzyjemności.

– Zgódź się, dziadku! My wszystko przygotujemy, zaprosisz kolegów, upieczemy tort... – Już sobie to wszystko wyobrażałem.

– I udekorujecie go tabletkami na artretyzm, tabletkami na niestrawność, tabletkami na nadciśnienie... – Dziadek widział wszystko w czarnych barwach. – Jeżeli zaproszę kolegów, będziemy się czuli jak w domu starców. Nie mam ochoty, sami staruszkowie, sztuczne szczęki, łyse głowy, nie życzę sobie. Zresztą jakich ja mam kolegów?

– Dziadek Kamila – odpowiedziałem.

– Jak powiem dziadkowi Kamila, żeby przyszedł na moje urodziny, posiusia się ze śmiechu. Kto to widział, żeby starzy ludzie obchodzili urodziny? Może jeszcze chcecie, żebym zdmuchnął osiemdziesiąt świeczek?

– Tak! – zawołaliśmy razem z Głupkiem, bo czasami jesteśmy tego samego zdania.

– Zdmuchnę osiemdziesiąt świeczek i pochowacie mnie po odśpiewaniu „Sto lat”!

Zaczęliśmy śpiewać z Głupkiem „Sto lat”. Tego rodzaju piosenki zawsze śpiewamy w duecie, kopiąc jednocześnie w nogi od stołu. Bardzo lubimy takie melodyjne piosenki. Dziadek mówił dalej:

– A poza tym jak człowiek jest stary, dostaje w prezencie same szaliki. Nikt mu nie podaruje krawata ani wody kolońskiej, ani nowej marynarki, tylko szaliki. Już mi się nie mieszczą w szafie.

– To powiedz nam, co chcesz, żebyśmy ci kupili. – Mama nie daje tak łatwo za wygraną.

– Nic! Nie mam ochoty na żadne uroczystości, nie mam kolegów i nie mam zamiaru kończyć osiemdziesięciu lat; jedyne, co mam, to szaliki z poprzednich urodzin.

Następnie dziadek udał się do łazienki i włożył sztuczne zęby, bo wybierał się do parku z dziadkiem Kamila. Mój dziadek nie należy do tych, co to przesiadują w parku bez zębów. Zamknął z hukiem drzwi i poszedł. Urwaliśmy z Głupkiem nasze „Sto lat” w pół słowa.

Nie znałem dotychczas nikogo, kto by nie chciał obchodzić swoich urodzin. Nawet mama, która od niepamiętnych czasów ma trzydzieści siedem lat, przypomina o swoich urodzinach na wiele dni naprzód, żeby tata nie zapomniał i kupił jej brylant, futro z norek albo mikser, który w końcu zawsze kupuje.

Jak dziadek trzasnął drzwiami, myślałem, że mama się obrazi, bo ona najbardziej ze wszystkiego nie lubi, żeby się jej sprzeciwiać. Więc siedzieliśmy z Głupkiem jak myszy pod miotłą, bo w takich momentach łatwo jest oberwać z byle powodu; wystarczy, że trochę za głośno kichniesz, żebyś się doigrał, oczywiście nie z powodu kichnięcia. Ale nie, mama wcale się nie obraziła i dalej sprzątała ze stołu, jak gdyby nigdy nic. Tata słusznie powiedział w zeszłym roku: „Ona wciąż nas zaskakuje”.

Zaskakująca mama nie wspominała więcej o urodzinach dziadka, a tymczasem dzień D (D jak dziadek) zbliżał się nieubłagane. W przeddzień tamtej tajemniczej środy mama zawołała mnie do swojego pokoju i zamknęła drzwi. Od razu zacząłem się trząść jak galareta i wykrztusiłem:

– Ja tego nie zrobiłem umyślnie, to Głupek wyciągnął z barku kruche ciasteczka, żeby zobaczyć, czy się rozklapciają na ziemi, jak je zrzucimy z balkonu. I tak wyszło, że na głowę pani Lusi spadło akurat to, które ja rzuciłem.

– Nie po to cię zawołałam, Mateuszk.

Czasami niepotrzebnie zaczynam się tłumaczyć i tym razem właśnie tak było. Po raz pierwszy w życiu nie zawołała mnie po to, żeby mnie obrugać jak święty Michał diabła; powiedziała, że będzie obchodzić urodziny dziadka, choćby miała paść trupem.

– Ale jeżeli on nie chce...

– On tu nie ma nic do gadania.

Taka jest mama; jak coś postanowi, nikt jej tego nie wybije z głowy, nawet tata. Chciałbym, żeby o tym, czy mama powinna obchodzić czyjeś urodziny, czy nie, decydował tata. Moja mama jest najwyższym autorytetem na kuli ziemskiej; wiedzą o tym nawet istoty z innych planet, na przykład Kuba Martínez.

Mama opracowała plan. Był to najdoskonalszy plan, jaki kiedykolwiek opracowała jakakolwiek mama, odkąd istnieje życie na Ziemi. Plan przedstawiał się następująco:

- a. Ja z dziadkiem zaprowadzę Głupka do lekarza. Pytasz, dlaczego Głupek musi iść do lekarza? Bo ma katar, ale to nieważne; gdyby nie miał kataru, miałby co innego, bo Głupek bez przerwy chodzi do lekarza; jest typowym dzieckiem, które łapie wszystkie choroby. Dlaczego? Bo zjada z ziemi wszystkie świństwa. Ale mniejsza o to. Gdybym ci opowiedział, co wyrabia Głupek, nigdy więcej nie wziąłbyś niczego do ust.
- b. W tym czasie, kiedy będziemy u lekarza, mama pójdzie do supermarketu zrobić zakupy na uroczysty, gigantyczny podwieczorek.
- c. O szóstej po południu zbiórka w domu. Obecni będą: mama, tata, pani Lusie, mąż pani Lusi, ja i Głupek.

Co za mętlik z tymi urodzinami! Spytałem mamę, czy zaprosi dziadka Kamila, ale mama przypomniała sobie, że dziadek powiedział, że nie ma zamiaru zapraszać starych kolegów. Nie to nie, obejdzie się bez starych kolegów.

Jak wychodziłem z pokoju, mama dodała:

– A jak się jeszcze raz dowiem, że wyrzucasz kruche ciasteczka przez balkon, polecisz za nimi.

No cóż, nie da się wejść do pokoju mamy i nie oberwać. Tym razem nie było jeszcze tak źle: wyszedłem zdrów i cały, bez siniaków.

Byłem strasznie przejęty, że mama powierzyła mi taką ważną tajemnicę. Chwilami obawiałem się, że ten sekret rozsadzi mi głowę. Wieczorem powiedziałem dwa albo trzy razy do dziadka, kiedy kładliśmy się spać:

– Dziadku, jutro są twoje urodziny, ale nie będziemy ich obchodzić.

Dziadek mówił „No i bardzo dobrze” i przewracał się na drugi bok. Czasami mam wrażenie, że nic nie jest w stanie go poruszyć.

Na drugi dzień otworzyłem skarbonkę. Moja skarbonka to gliniana świnka. Na ogół ludzie rozbijają skarbonkę, jak świnka jest pełna, ale ja nigdy nie czekam, aż się napełni, tylko otwieram ją, jak są tam dwie albo trzy monety, bo dłużej nie mogę wytrzymać. Tata zrobił jej na brzuchu wąską szparę i wszyscy są zadowoleni: ja nie muszę rozbijać świnki, a oni kupować mi co niedziela nowej.

Było tam sto pięćdziesiąt peset. Niedużo. Prawdę mówiąc, zaoszczędziłem tylko jedną tygodniówkę; to nie wystarczy nawet na znienawidzony przez dziadka szalik. Gdybym miał więcej

pieniędzy, chętnie bym mu kupił sztuczną szczękę. Ta, którą ma, jest odrobinę za duża i jak je coś twardego, kończy się to ogólnościową katastrofą: wyjmuje sztuczne zęby z wbitym w nie kawałkiem mięsa.

Zabrałem swoje sto pięćdziesiąt peset do szkoły. O mały włos nie wydałem ich w Niebieskiej Budce – Niebieska Budka należy do pana Mariana, który sprzedaje wszelkie błyskotki, jakie tylko są znane na obu półkulach – na torebkę czerwonych kulek, które pan Marian sprowadził z Chin, ale rozmyśliłem się, bo odkąd Głupek o mało co się nie udławił moimi kulkami, mama zabroniła mi je kupować. Nici z kulek. Potem zobaczyłem papierowych Indian, ale Indianie pana Mariana przewracają się, a ja chciałbym ich poustawiać za wzgórzem zrobionym z poduszki, żeby wystawały im tylko pióropusze, tak jak w filmach. Nici z Indian. Potem zobaczyłem bączka, ale już takiego miałem. Jojo też miałem... Nigdy byś się nie domyślił, co nagle, zupełnie niespodziewanie zobaczyłem. Zęby Drakuli. Nie miałem dość pieniędzy na sztuczną szczękę zrobioną przez dentystę, ale wystarczająco dużo, żeby kupić dziadkowi zęby Drakuli. Postanowiłem wydać wszystkie pieniądze na prezent dla dziadka. Byłem w tym momencie najlepszym człowiekiem, jakiego zdarzyło mi się kiedykolwiek spotkać, ani trochę nie przesadzam. Byłem jak ten chłopiec z bajki, który oddał życie za dziadka. Całe szczęście, że nie musiałem umierać, bo prawdę mówiąc, nie byłem do tego taki skory.

Kamil poprosił mnie na przerwie, żebym mu pokazał szczękę Drakuli. Dałem mu na chwilę i powiedziałem, żeby mi jej za bardzo nie zaślinił, bo to jest prezent dla dziadka. Potem

przymierzali ją Kuba Martínez i Uszatek, który zostawił na niej resztki bułki. Wytarłem ją w jego spodnie i zrobiła się taka biała, jak przedtem, bo to była sztuczna szczeka najwyższej jakości.

W czasie lekcji przypomniałem sobie, że dziadek nie chce zapraszać na urodziny staruszków, więc wpadłem na pomysł, żeby przyprowadzić swoich kolegów. Moi koledzy mają co prawda dużo wad, ale żaden z nich nie jest stary. Posłałem im po cichu karteczki. Nasza pani nie lubi, jak się zajmujemy zapraszaniem ludzi na urodziny, kiedy ona truje na temat klimatów na tym bożym świecie. Pomyślałem, że może nie będzie im się chciało przychodzić na urodziny jakiegoś dziadka... Ale wszyscy obiecali, że przyjdą! Moi koledzy są gotowi pójść na każde urodziny, nawet samego Lucyfera, pod warunkiem, że dostaną kawałek tortu i coca-colę. Powiedziałem im, że w takim razie wszyscy muszą iść najpierw do przychodni, żeby zaprowadzić Głupka do lekarza. „W porządku, pójdziemy” – odpowiedzieli.

Po obiedzie złożyliśmy dziadkowi życzenia i zaczęliśmy oglądać telewizję, jakby nic więcej na tym świecie nas nie obchodziło. Zdarza się, że telewizja obchodzi nas najbardziej ze wszystkiego na świecie, ale tym razem tak nie było.

Kiedy wróciłem po obiedzie do szkoły, przed wejściem stał Kamil ze swoim dziadkiem. Kamil powiedział:

– Mój dziadek chciałby wiedzieć, dlaczego twój dziadek nie zaprosił go na urodziny.

– Bo uważa, że na stare lata nie wyprawia się urodzin.

– W takim razie trafił kulą w płot, bo ja nie po to wciąż go zapraszam do baru, żeby mnie teraz puścił kantem. O której są te przeklęte urodziny?

– O szóstej.

Było jasne jak słońce, że nikt się nie liczył ze zdaniem dziadka; każdy postępował według własnego widzimisię. Doskonały plan opracowany przez mamę przedstawiał się następująco:

- a. Dziadek, Kamil, ja, Uszatek, Kuba Martínez i Zuzia pójdziemy do przychodni, żeby lekarz zajrzał Głupkowi do nosa.
- b. Dziadek Kamila włoży sztuczną szczękę i stawi się o szóstej u nas w domu. Zastanie tam moich rodziców, panią Lusię i jej męża. Mama pomyśli sobie: „A jego kto zaprosił?”, ale nic nie powie, bo wobec obcych jest zawsze bardzo uprzejma, jak lady Diana.
- c. Uroczysty, gigantyczny podwieczorek będzie czekał na nas na stole.

Dziadek przyszedł po mnie do szkoły z Głupkiem i trochę się zdziwił, jak mu powiedzieliśmy, że wszyscy idziemy do lekarza, ale nie protestował. Jest przyzwyczajony do gorszych rzeczy; kiedyś w barze zamieniliśmy mu z Uszatkiem czarną oliwkę na karalucha. Przekłuliśmy go wykałaczką, a jakże, i byliśmy pewni, że dziadek da się nabrać, ale on się skapował, że to nie jest zwyczajna oliwka, bo oliwka ruszała łapkami. Zresztą w tym barze karaluchy występują równie często jak oliwki.

W przychodni szaleliśmy w poczekalni. Fantastycznie jest iść do lekarza, jak mają badać kogo innego. Ślizgaliśmy się po korytarzach, mocowaliśmy się, bawiliśmy się w stary niedźwiedź

mocno śpi, a jak chcieliśmy się pośmiać jak nigdy dotąd, pytaliśmy Głupka:

– Jak pokażesz panu doktorowi, że umiesz się wysmarkać?

Głupek namyślał się przez chwilę, po czym wciągał katar do środka. Koledzy tarzali się ze śmiechu, widząc, co Głupek wyrabia, a Głupek strasznie się przejął tym, że jest taki ważny, i bez przerwy wciągał katar do środka, aż zrobił się czerwony jak piwonia i o mało nie pękł z dumy. Potem weszliśmy wszyscy razem do gabinetu doktora Moralesa, który leczy wszystkich moich kolegów i zna się na wszystkich chorobach, a poza tym, jak twierdzą nasze mamy, jest z niego kawał chłopaka i w dodatku zna się na żartach. Doktor Morales przypomina lekarzy z seriali telewizyjnych, co do tego wszyscy są zgodni. Usiedliśmy na kozetce razem z Głupkiem; wszystko było dobrze, dopóki Kamil nie zaczął nas spychać na podłogę. Wtedy sympatyczny doktor Morales, doktor z serialu telewizyjnego, zapytał nas, czy nie mamy nic do roboty w domu. Uszatek, któremu zawsze udaje się wszystko popsuć, powiedział:

– Owszem, mamy obchodzić urodziny...

Nie dokończył tego fatalnego zdania, bo wszyscy czworo zatkaliśmy mu gębę.

Diagnoza lekarza bardzo nas uspokoiła: katar Głupka nie był groźny, był obrzydliwy. Nagle zorientowałem się, że jest już piętnaście po szóstej. Złapaliśmy dziadka za kurtkę i zaciągnęliśmy go prawie biegiem do domu. Od czasu do czasu chichotaliśmy nerwowo, bo prowadząc dziadka na urodziny–niespodziankę, jest się tak przejętym, jak przy wodospadzie

Niagara albo w kanionie Kolorado; wszystko inne jest niczym w porównaniu z tymi emocjami.

Przycisnąłem guzik domofonu. Odezwała się mama:

– Mateuszk, poproś dziadka, żeby wstąpił do baru i kupił butelkę wody mineralnej na kolację.

Dziadek, który to usłyszał, odwrócił się na pięcie i poszedł do baru. On uwielbia, jak mama go tam wysyła, kiedy zapomni coś kupić. Potem on z kolei zapomina, że czas już wracać do domu.

Weszliśmy z kolegami na górę. Mama otworzyła drzwi i popatrzyła na nas.

– A wy tu po co?

Ani trochę nie stara się być miłą dla moich kolegów; traktuje ich nie lepiej niż własne dzieci.

– Dziadek nie chciał, żeby na jego urodzinach byli sami staruszkowie, więc zaprosiłem moich kolegów.

– Mniejsza z tym – powiedziała mama zrezygnowanym tonem.

– Są i dzieci, i staruszkowie... Dla każdego coś miłego.

Tak było w istocie. Dziadek Kamila przyprowadził czterech innych dziadków, z którymi grywał w karty w Klubie Emeryta. Była też pani Lusia, ale to nic nowego; pani Lusia bez przerwy u nas przesiaduje, tylko na noc wraca do męża, bo musi pilnować, żeby panu Barnabie nie przekrzywiła się peruka, jak chrapie. Mama ustawiła nas dokoła stołu. Nie wolno było tknąć ani jednego chipsa, bo były wyliczone, a mama się denerwuje, jak jest dużo ludzi, a mało jedzenia. Wszyscy byliśmy gotowi, żeby zaśpiewać „Sto lat”, kiedy tylko dziadek się pojawi.

Usłyszeliśmy, że ktoś wchodzi do mieszkania, więc zaczęliśmy śpiewać jak zwariowani i jednocześnie jeść. Zanim dotarł do

dużego pokoju, Kamil zjadł wszystkie chipsy ziemniaczane i wypił swoją coca-colę, a trzeba pamiętać, że nasze mieszkanie jest, jak mówi mama, nie większe niż pudełko zapalek, więc przejście z przedpokoju do pokoju nie zabiera wiele czasu. Ale zamiast dziadka wszedł mąż pani Lusi z trzema butelkami wina dla dziadków. Mama zagroziła, że ten, kto znów się rzuci na jedzenie, dostanie kanapkę i pójdzie ją jeść w parku Wisielca, smutny i sam jak palec. Ona nie ma litości.

Mąż pani Lusi stanął w kole, które tworzyliśmy wokół stołu. Znowu ktoś wszedł do mieszkania i znowu powtórzyliśmy nasze „Sto lat” równie energicznie jak poprzednio. Kamil wciąż się opychał, myśląc, że mama tego nie widzi. Mylił się; ona zawsze wszystko widzi, tylko czasami udaje ślepą. Gdybym był Panem Bogiem, korzystałbym często z jej usług. Przed nią nic się nie ukryje. Należy do gatunku mam-kameleonów.

Nowa wpadka: to był tata; przyniósł pyszny ser kupiony w jakimś barze przy autostradzie. Mama pokroiła ser i dała każdemu z nas po kawałku, żebyśmy nie umarli z głodu, zanim nie nadejdzie bohater tego wieczoru.

Każdy stanął na swoim miejscu i jedliśmy ser po cichutku, żeby dziadek nie zorientował się, wchodząc, że do jego domu wtargnęły tysiące ludzi. Minęła jedna chwila, druga, trzecia, a potem dziadkowie zaczęli prosić o krzesła, bo prawdę mówiąc, nasz dziadek trochę przeholował.

Mama postanowiła zadzwonić do baru; zna numer telefonu, bo nieraz już ratowała tatę i dziadka ze szponów ośmiornicy, która łązi po wystawie.

Odebrał właściciel, pan Eustachy, i powiedział:

– Ależ oczywiście, jest tu pan Mikołaj. Właśnie mnie zaprosił na kieliszek czerwonego wina z okazji swoich urodzin. Mówi, że nie dostał w prezencie nawet nędznego szalika.

A mama na to:

– Proszę powiedzieć mojemu ojcu, żeby natychmiast wracał do domu.

I dziadek natychmiast wrócił, bo jak mama mówi „natychmiast”, nie ma na Ziemi takiego śmiałka, który by się odważył przyjść za chwilę.

Drzwi od dużego pokoju otworzyły się i zaczęliśmy śpiewać „Sto lat”. Robiliśmy to lepiej niż chór dziecięcy papieża; gdyby papież nas znał, skorzystałby z naszych usług *ipso facto*^[2]. Szkoda, że nie widziałeś miny, jaką zrobił dziadek, kiedy zobaczył, że w dużym pokoju zebrała się cała Hiszpania. Za nim wszedł pan Eustachy z dwoma półmiskami: na jednym były krewetki, a na drugim małże. Wszyscy przyjęli go z entuzjazmem. Zdaje mi się, że zawartość półmisek zniknęła w ciągu pięćdziesięciu tysięcznych sekundy. Dziadkowie jedli krewetki ze skorupkami, a małże całymi garściami. Wszyscy zaczęli wyjmować prezenty. Dziadek Kamila przyniósł w prezencie szalik w kratkę, którym dziadek był zachwycony. Inni dziadkowie podarowali mu dwa szaliki, jeden czarny, a drugi zielony; dziadek powiedział, że są prześliczne. Pani Lusia kupiła mu szalik *made in Italia*, który uznaliśmy za bardzo elegancki. Od mamy dostał fular, czyli coś podobnego do szalika, tylko cieńszego, „żebyś wyglądał młodziej”, i wszyscy zgodnie stwierdzili, że wygląda, jakby miał dziesięć lat mniej. Moi koledzy obiecali mu szalik na następne urodziny, a Głupek i ja daliśmy mu szczękę Drakuli, która zrobiła furorę. Dziadek wyjął

sztuczne zęby i włożył te od pana Mariana. Pasowały jak ulał. Dziadek obiecał, że będzie je wkładał w niedzielę. Fantastycznie udawał wampira: słynny wampir z Carabanchel to mój dziadek.



Stół świecił pustkami. Skończyło się wino, woda mineralna i coca-cola. Trzeba było wszystkiego dokupić, ale to też się skończyło. Staruszkowie stali cały czas w kolejce do ubikacji; jak wychodził ostatni, pierwszemu znów się chciało siusiu.

Mama wniosła tort, ale tortu nie było widać: był zakryty osiemdziesięcioma świeczkami. Mama spuściła żaluzje, żeby pokój był oświetlony tylko blaskiem świeczek. Głupek zaczął płakać i powiedział, że twarze staruszków wokół tortu wyglądają strasznie. Dziadkowi wystawały kły po obu stronach ust. Naprawdę wyglądał jak upiór, brakowało mu tylko paru kropli krwi na brodzie. Mama rozkazała, żeby dzieci zgasiły świece. Krzyknęli: „Raz, dwa, trzy!”, ale Kamil nas odepchnął i zgasił

prawie wszystkie sam. Zawsze się znajdzie jakiś dureń, który ci wszystko popsuje, nawet urodziny własnego dziadka. Mama powiedziała, że w czasie uroczystości rodzinnych nie można się bić, więc musiałem, jak zwykle, siedzieć cicho. Jak teraz o tym myślę, mam w nosie zdmuchiwanie świeczek, co za idiotyzm. W czasie krojenia tortu śpiewaliśmy „Niech mu gwiazdka pomyślności” i dziadek uronił dwie albo trzy łzy, jak zawsze, kiedy ktoś wznosi toast, zegar na placu Puerta del Sol bije północ w sylwestra albo w telewizji pokazują ludzi, którzy giną na wojnie. Dziadek Kamila powiedział, że mój dziadek musi wygłosić parę słów. Dziadek zarzekał się, że nie, nie i nie, ale kolejny chór papieski zawołał: „Niech mówi, niech mówi!”. Wtedy dziadek oznajmił wielką nowinę, najlepszą nowinę sezonu, zważywszy, że jak tak dalej pójdzie, Real Madryt nie wygra w Lidze. Dziadek oznajmił:

– Zawsze mówiłem, że zamierzam umrzeć w roku 1999, na parę dni przed końcem XX wieku. No więc pomyślałem sobie, że spróbuję jeszcze pożyć dwa albo trzy lata w XXI wieku.

Rozległy się oklaski. Mama poprosiła dziadków, żeby poszli z nami do parku Wisielca, a ona w tym czasie posprząta.

Na podłodze leżało pełno chipsów ziemniaczanych i była poplamiona coca-colą. Wieczorem na pewno będzie znowu błyszczała jak lustro, bo moja mama zachowuje się tak samo jak mamy z reklam, tylko że ma dużo mniejsze mieszkanie.



Poszliśmy do parku Wisielca. Po chwili zaczęły przychodzić mamy po moich kolegów. W końcu zostaliśmy sami: Głupek, dziadek i ja. Nie musieliśmy już nosić tych okropnych kurtek i dnie były coraz dłuższe. Zawsze się tak dzieje w Carabanchel od 14 kwietnia, czyli od dnia urodzin dziadka. Nie pytaj mnie dlaczego. Uчени na całym świecie próbowali wyjaśnić to zjawisko, ale im się nie udało. Musieli jednak przyjąć do wiadomości, że lato zaczyna się w Carabanchel w dniu urodzin Mikołaja.

Dziadek wziął ze sobą wszystkie szaliki, żeby popatrzeć na nie od czasu do czasu. Ja robię to samo z prezentami, które dostaję pod choinkę: zabieram je do parku Wisielca, żeby nie rozstawać się z nimi ani na chwilę. Siedzieliśmy na jedynej niepołamanej ławce w parku Wisielca; drzemią na niej rano wszyscy nasi dziadkowie. Tym razem zasnął Głupek: głowę położył na kolanach dziadka, a nogi na moich. Ja mam zawsze najgorzej. Głupek jest

jeszcze mały, ale już mu śmierzdzą nogi; pod tym względem jest podobny do taty. Ja też jestem podobny do taty: obaj nosimy okulary i to samo nazwisko.

Byłem bardzo zadowolony, bo zbliżał się koniec roku szkolnego; mieliśmy się wkrótce rozstać na parę miesięcy z naszą panią. Nadejdzie lato i dziadek, Głupek i ja będziemy przesiadywać w parku aż do zmierzchu, bez kurtek, bez szalików, bez niczego. Mamy będą nas wołać z balkonów, jak kielbaski będą gotowe, i wszyscy na osiedlu będą chodzić spać znacznie później. Fajnie, że idzie lato.

Dziadek pokazał mi wielkie, czerwone słońce, które chowało się właśnie za Drzewo Wisielca. Dziadek mówi, że ziemia w Carabanchel jest ohydna, za to niebo jest tak piękne, jak mało gdzie na świecie; tak piękne, jak piramidy egipskie albo drapacze chmur w Hongkongu. Ósmy cud świata na tym bożym świecie.



W powietrzu był taki spokój, jak w jednym filmie w telewizji, w którym dziadek i chłopiec zostali sami na cmentarzu po pogrzebie jakiegoś Murzyna. Ale ja mam dużo lepiej, bo w filmie, jakim jest moje życie, nikt w najbliższym czasie nie umrze. Dziadek mi to obiecał.

Pewnie mi nie uwierzysz, ale zdaje mi się, że odkąd żyję na tym świecie, nigdy nie byłem taki szczęśliwy jak tamtego popołudnia.

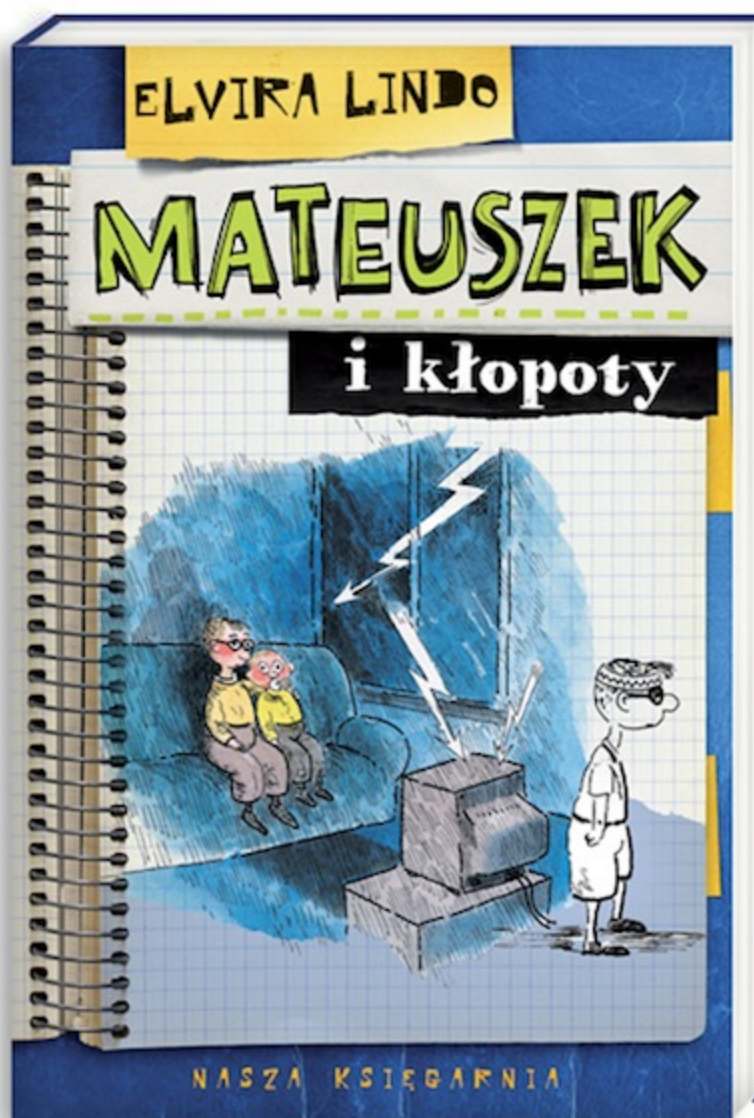
^[2] ipso facto (łac.) – tym samym; na mocy samego faktu.

O Autorce



ELVIRA LINDO (ur. w 1962 r.) studiowała dziennikarstwo. Na początku kariery pisała scenariusze radiowe i telewizyjne. W jednym z nich pojawił się Mateuszek, który później stał się bohaterem cyklu książek, znanych nie tylko w Hiszpanii (zostały wydane także w 20 innych krajach, w tym w Polsce). Autorka była za nie wielokrotnie nagradzana. Napisała również kilka książek i sztuk dla dorosłych oraz scenariuszy filmowych. Stale współpracuje z najważniejszym hiszpańskim dziennikiem „El País”. Jej mężem jest pisarz Antonio Muñoz Molina.

Przeczytaj również drugi tom serii!



Tytuł oryginału *Manolito Gafotas*

© 1994 by *Elvira Lindo*

© Copyright for the Polish edition by Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2009

Projekt okładki *Maciej Szymanowicz*

Redaktor prowadzący *Anna Garbał*

Opieka redakcyjna *Joanna Kończak*

Redakcja *Małgorzata Grudnik-Zwolińska*

Korekta *Joanna Morawska*

Przygotowanie pliku do konwersji *Agnieszka Dwilińska-Łuc*

ISBN 978-83-10-12477-7

Plik wyprodukowany na podstawie *Mateuszek*, Warszawa 2013



www.naszaksiegarnia.pl

Wydawnictwo NASZA KSIĘGARNIA Sp. z o.o.

02-868 Warszawa, ul. Sarabandy 24c

tel. 22 643 93 89, 22 331 91 49,

faks 22 643 70 28

e-mail: naszaksiegarnia@nk.com.pl



Plik ePub przygotowała firma eLib.pl

al. Szucha 8, 00-582 Warszawa

e-mail: kontakt@elib.pl

www.eLib.pl